

# Julianka





ELIZA ORZESZKOWA

## Julianka

OBRAZEK MIEJSKI.

Przy jednej z najskrajniejszych i najcichszych ulic miasta Ongrodu, znajduje się ogromne podwórze, z wysokim niegdyś, lecz w gruzy rozwalającym się, murem dokoła, z wysoką czerwonawą ścianą wielkiej budowy w głębi. Monotonną powierzchnią starego i opustoszonego gmachu przerywają długie rzędy okien, pozbawionych szyb, więc ziejących ciemnością i pustką; wśród nich z rzadka tu i owdzie, w górze kędyś, lub nad samą ziemią, mętnie świeci szkło zielonawe, zwiastujące, że ruina ta udzieliła schronienia jakiemuś ubóstwu. Tu i owdzie także powoje i bluszcze wieszają po gzemsach i załomach muru zwikłane gałęzie, a z pośród szczelin wychylają się dzikie lewkonie z blado-żółtym kwiatem.

Gmach ten, wraz z otaczającymi go mniejszymi budynkami i leżącym przed nim ogromnym dziedzińcem, był niegdyś własnością i mieszkaniem pewnej możnej rodziny, poczem przez zbieg okoliczności przeszedł w posiadanie władz krajowych, które, nie czyniąc z niego użytku żadnego, pozwalają od czasu do czasu zamieszkiwać w nim, w zamian bardzo małej opłaty, ludziom biednym, tak biednym, że aż niełękającym się pustki tej i ruiny.

Przebywające tu niegdyś bogactwo pozostawiło ślady, które przetrwać zdołały dziesiątki lat. W czterech rogach podwórza stare lipy ocieniają rozłożystemi gałęziami niezmierny gąszcz chwastów bujających wysoko i szeroko: z pomiędzy chrzanowych i łopuchowych liści wykwitą tu i owdzie zdrobniały hyacynth, lub połyskuje wątlą asterka, kolczate osty uginają się pod ciężką gałęzią zdziczałego bzu, lub w krzew głogowy zamienionej róży. Zresztą, gęsta trawa porasta dziedziniec, który nigdy brukowanym nie był, a gdy promienie słońca zagładają do głębokiej sieni gmachu przez drzwi, od dziesiątków lat nie zamykane, widać migocące po ścianach jej spłowiałe barwy starych malowideł, a w katach jej leżące, pokaleczone i pajęczyną osnute odłamy posągów.

Mniej puste i smutne są budynki drewniane, stojące naprzeciw wielkiego gmachu, z oknami zwróconymi ku cichiej, wązkiej ulicy, Były-to niegdyś pałacowe spichrze i stajnie. Drewniane ściany ich, długie, niskie, czerniały od starości, zdają się znikać wobec przykrywających je staroświeckich dachów, wysokością swoją przenoszących kilka razy ich wysokość, śpiczastych w górze, szeroko rozpostartych u dołu.

Z cienia omszonych i daleko wystających gzemsów dachów tych wyglądają skromne okienka, nierówno, bo niżej i wyżej, osadzone w niskich pochyłych ścianach, niepodobne ze sobą rozmiarami i wyglądem, bo złożone z mniejszych i większych szyb, wprawionych w ramy z nowego żółtego drzewa, lub spróchniałe i kruszące się, stosownie snadź do stopnia zamożności żyjących za nimi mieszkańców.

Tu, nad samym chodnikiem, wązkim i śpiczastymi kamieniami najeżonym, żydówka stara, niska i zgarbiona, w barwistym starożytnym zawoju na głowie, utrzymuje sklepik wiktuałów i przez okno, o sporych, lecz mętnych szybach, ukazuje przechodniom od lat już niepamiętnych rzędy serów stwardniałych, żółtych obwarzanków i różnokształtnych butelek z różnobarwnymi płynami. Tu szukają schronienia studzy, chwilowo zostający bez służby; rzemieślnicy, nie mogący nigdy wybrnąć z ostatecznego ubóstwa, zamykają w ciasnych izdebkach liczne rodziny swe, a sami każdej prawie nocy budzą uliczne echa odgłosami nierównych stąpań swych i pijanych okrzyków; tu w najlichszych i najciemniejszych kątach tulą się uliczni żebracy, i co wieczór napełniają wielki dziedziniec gwarem zawziętych kłótni o podział zdobytych groszy, a co rano rzucają nań chrypliwe

tony pieśni nabożnych, które, z towarzyszeniem stuku koszturów i kijów uderzających o kamienie, dygocą i wloką się czas jakiś po cichej ulicy, aż milkną, tonąc w dalekim gwarze. Tu w rogu podwórza, kędy lipa stara opuszcza na gżems czarnego dachu wielkie swe gałęzie, odzywają się niekiedy słabe dźwięki fortepianiku ze staremi, brzęczącymi strunami, a z innej strony, z głębi wielkiej budowy o pustych oknach, wychodzi głośny i monotony turkot magłu, zataczającego od rana do nocy wielkie skrzynie swe, pełne kamieni.

Od czasu do czasu, gdy milknie ponury głos magłu w oficynie malutkiej, której niska biaława ściana do połowy prawie kryje się za szarą zielenią rozłożystych chwastów, ciszej lecz weseliej turkoce mała maszyna do szycia. Schylona nad nią szwaczka, z twarzą chudą i bladymi oczyma, nie śpiewa nad robotą swą, jak to według opisów wszelkich czynić zwykły kobiety szyjące, lecz co chwila z niepokojem spogląda w okienko, przy którym siedzi, i głosem piskliwym, rozdrażnionym dlatego może, iż ze zmęczonej piersi wychodzi, wykrzykuje parę spieszonych imion dziecięcych. Właściciele imion tych są to drobne istoty, z bosemi stopami i rozczochranym włosiem, które, w towarzystwie wielkiej liczby istot im podobnych, napelniają dziedziniec wrzawą krzyków, wesołych lub płaczących, lub tententem mnóstwa stóp drobnych, deptających twardy grunt dziedzińca w swawolnej gonitwie.

Rzecz dziwna! Ludność, zamieszkująca zakąt ten, zmienia się często, a jednak zawsze jest jakby tą samą. Gdybyś przez lat dziesiątki co miesiąc, co tydzień, codzień, zaglądał na ogromne podwórze, zobaczył-bys tu te same widoki i te same odgłosy posłyszał. Słudzy, czasowo bez zajęcia zostający, rozchodzą się ztąd w różne strony, aby na czas jakiś zamieszkać w pięknych kamienicach i ładnych dworach miejskich, z których w zamian wychodzą mniej szczęśliwi ich towarzysze i tu przybywają; dziadowie i baby kościelne idą szukać dochodniejszej parafii, albo kłaść się na wieki po najuboższych kątkach miejskiego cmentarza; a ci, co przy pogrzebach ich zawodzili pieśni żałobne, stukają koszturami i kijami swymi po tych samych kamieniach, po których niegdyś stukali tamci: z bramy dziedzińca od czasu; do czasu wynoszą małe trumienki, zamykające w sobie martwe ciała dziecięce, a za nimi grubijańscy ci i nierządni ludzie, którzy co noc budzą mieszkańców ulicy pijanemi okrzyki, postępują zwolna, ze zwieszonymi głowami i płaczą. Liczba drobnych istot z bosemi nogami i rozczochranym włosiem, hasających po wielkim podwórzu, nie zmniejsza się jednak; przez okno oficynki, nad gęstwiną chwastów, zamiast chudej szwaczki o wybladłych oczach, wygląda zarumieniona od ognia, z nagiemi, mokremi rękoma, praczka, i rozdrażnionym głosem przywołuje ku sobie swe dzieci.

Wszystko tu tak samo, choć wszyscy są inni. I tylko magiel, ten sam zawsze, co i przed lat dziesiątkiem, turkoce ponuro w głębi starego gmachu, i ta sama żydówka, mała i przygarbiona, kołysze starą głowę swą, obciążoną spłówałym zawojem, za oknem, ubraną w obwarzanki, butelki i sery. Właścicielki magłu zmieniały się wiele razy, lecz on sam pozostał zawsze na dawnym swym miejscu; stariej żydówce dopomagały w handlu córki jej, potem wnuczki, a potem prawnuczki, lecz ona sama siedzi zawsze tam, gdzie siadywała przed laty i bezzębniemi usty rada jest opowiadać każdemu, kto słuchać zechce, długie i różne historie o wielkim podwórzu, starym gmachu i wielu pokoleniach mieszkańców ich, które przesuwają się jej przed oczyma, niby szeregi cieniów coraz innych, a wiecznie jednakich.

U murowanej czerwonej i napoły rozwalonej bramy wielkiego podwórza tego, jedna z bab-żebaczek, która wczesnym rankiem zwlokła się ze swego barłogu, znalazła raz spoczywające na ziemi, grubą chustą owinięte, przed kilku dniami na świat wydane dziecko. Ranek był ciepły, choć jesienny; szara, lekka mgła zwilżała chustę, okrywającą nieruchomo ciało, ale promień wschodzącego słońca osuszał ją i ogrzewał.

W kilka minut potem gwar niezwykły panował na wielkim podwórzu. Pośrodku podwórza stała stara żebaczka, w podniesionych nieco, łachmanami okrytych ramionach trzymając dziecko i ukazując je ludziom, otaczającym ją ścisłym kołem. Patrzano i dziwowano się; jedni oburzali się i ściskali pięści, inni wzruszali ramionami, marszczyli czoła i spoglądali w górę, jakby chcieli i mogli domyślać się, do kogo właściwie należać mógł przedmiot znaleziony; był ktoś, kto rozśmiał się głośno i grubijańsko, i ktoś, kto grubą ręką otarł łzę z zaspanych jeszcze oczu. Rozbudzona gwarem rozmów i wykrzyków, nadeszła nawet ze sklepiku stara żydówka Złotka i, spoglądając na dziecko przymrużnemi

oczyrna, kołysała przez chwilę głową na znak zadziwienia i żalu. Potem zwróciła się ku ludziom, stojącym dokoła i, pomarszczonym palcem ukazując dziecę, zapytała:

— A co wy z tém zrobicie?

Praktyczne to było pytanie, które jój pierwszej przyszło do głowy.

Radzono godzinę całą. Głos jakiś mężki odezwał się trochę nieśmiało, aby dzieci znalezione oddać w ręce zarządu policyjnego, który niech tam sobie zrobi z niém, co zechce, lecz, jako odpowiedź na to, podniosły się jednocześnie dwa, czy trzy głosy kobiece, takie piskliwe i taki potok łających wyrzutów wylały na głowę wnioskodawcy, że wniosek ów, poparty zresztą przez innych bierném zaledwie milczeniem, upadł w zupełności.

— Nieboractwo!

— Biedny robaczek!

— Niegodziwa matka jakaś!

— Łotr ojciec!

— Wstydzila się...

— Albo to łotry tylko tak robią...

I znowu:

— Cóż z niém począć?

Pracznica z małej oficynki rzekła pierwsza:

— A niechby sobie hodowało się tutaj!

Słowa te długo nie otrzymały odpowiedzi, aż po chwili dopiero właścicielka magłu, najzamożniejsza osoba z całej osady, spoglądając po wszystkich oczyma, które niespokojnie migotały wśród tłustej twarzy, zapytała:

— Niech-by sobie hodowało się! ale u kogo?

Milczenie powszechne trwało potem długo. Kilka osób zniknęło nawet z tłumy, spiesznie umykając ku swym mieszkaniom. Inni stali z opuszczonymi rękoma.

— A cóż? — ozwała się nakoniec stara żydówka — co tu długo gadać o tém? u kogo? niech będzie u wszystkich i koniec!

Zaledwie wymówiła te słowa, wyszedł z tłumy podstarzały mężczyzna, w ubogiej, długiej kapocie, i, zdjawszy z głowy czapkę, oszytą baraniém futrem wyciągał ją giestem proszącym, od osoby do osoby przechodząc. Był to rymarz, jeden z tych, którzy nigdy z biedy wybrnąć nie mogli. Twarz jego nabrzmiała i gorąco zaczerwieniona nie świadczyła dobrze o cnocie i przyzwyczajeniach jego, ale w tej chwili okryła się szczególnie rozrzewnionym wyrazem. Trząsał głową tak, jakby bardzo, bardzo litował się nad czémś, wzdychał a mętnemi oczyma mrugał filuternie, zachęcając niby, lub przymilając się.

— No! no! — mówił — cóż robić? cóż robić?

— Cóż robić? — powtórzono chórem dokoła.

Przygarbiona imość, w watomanej salopce i kapturku, nieukrywającym zupełnie siwych włosów, zbliżyła się do dziecka, popatrzała na nie przez okulary i pierwsza rzuciła w czapkę rymarza drobny srebrny pieniążek. Potem wyjęła dziurawą chusteczkę z worka, w którym było mnóstwo drobnych robótek z bawełny i włóczki, otarła nią sobie oczy i podreptała na miasto, gdzie, od domu do domu chodząc, rozprzedawała nędzne i tanie wyroby starych rąk swoich.

Do czapki rymarza upadło następnie kilkanaście miedzianych monet; otyła właścicielka magła rzuciła w nią dumnym giestem banknot rublowy i odeszła ku wielkiemu gmachowi ze wspaniałą postawą i zwolna, bo, idąc, przysłuchiwała się okrzykom zdziwienia i rozczulenia, które w gromadce obudziła wielka jój wspaniałomyślność.

Dawcy darów tych większych i mniejszych, zaraz po uiszczeniu się z tego, ku czemu pobudziła ich litość, lub próżność, odchodzili; niebawem na środku podwórza zostało troje już tylko ludzi: żebraczka, trzymająca wciąż dziecę, rymarz z czapką w ręku, na której dnie znajdowało się trochę pieniędzy, i kobieta z bosemi stopami, nagiemi po łokcie ramionami, w krótkiej spódnicy i jaskrawej chustce na roztarganych włosach. O kilka kroków dalej stała jeszcze stara żydówka ze sklepu, która wciąż odchodziła, wracała i mruzczała wciąż niezrozumiale do siebie, w ziemię patrząc.

— No! imość! bierz to sobie, bo mnie już ręce bolą od trzymania i do kościoła na mszę świętą pora! — zagadała żebraczka i wyciągnęła ku stojącej przed nią kobiecie ramiona, trzymające dziecko.

— Imość karmisz teraz robaka swego, — dodała.

Kobieta z bosemi stopami skinęła głową, na znak jakby determinacji powziętej i, nie mówiąc, wzięła dziecię z rąk żebraczki.

Wtedy rymarz wysypał do fartucha jej znajdujące się w jego czapce pieniądze, a stara żydowica, zbliżywszy się, na ucho jej mruczała:

— Niech dziecko to będzie u imości, a ja już co miesiąc zbiorę u ludzi tyle pieniędzy, ile ich tu teraz jest, to imości oddam. Już jak ja zbierać będę, to one zbiorą się, bo do mnie każdy zagląda i interesa ze mną ma.

Rzekłszy to, zwróciła się ku rymarzowi:

— A teraz może na kieliszeczek? co? Jegomość?

Rymarz ręką niechętnie rzucił, ale, jakby z przyzwyczajenia, nierówno stąpając, powłókł się za Złotką do otwierającego się właśnie jej sklepiku.

Jednocześnie magiel zaturkotał, porwane struny fortepianu zabręczały, zawrzęszczały dzieci, wylatujące z krzykiem ze wszystkich drzwi domowstw, dziadowie i baby, stukając koszturami o kamienie bruku, zawiedli pobożne pieśni, westchnęła przy słabo płonącym ognisku żona rymarza, wychylającego w sklepiku pierwszą, lecz nieostatnią w dniu miarkę trunku, i wszystko na wielkim podwórzu starego gmachu weszło w codzienny zwyczaj i ład.

Tak więc pierwszemi ramionami, które Juliankę podjęły z ziemi i ukazały ludziom, były ramiona żebraczki, owinięte w brudne, strzępiaste łachmany. Pierwszy zaś obraz, który dostrzegła ona oczyma, budzącemi się do rozpoznawania przedmiotów zewnętrznych, przedstawił jej niską izdebkę z szaremi ścianami i ogniskiem, szeroko płonącym w kominie z czarną głębią.

Z balii, ustawionej na stolkach pośrodku izby, podnosiły się gęste, szare wyziewy i ciężkimi kłębami czołgały się w powietrzu, aż ku grubym wykrzywionym belkom niskiego sufitu. Nad balią pochylała się kobieta w krótkiej spódnicy, z wielkimi bosemi stopami. Twarz jej niewiele mniej czerwoną była od chustki, okrywającej roztargane jej włosy, a spływał wciąż po niej kroplisty pot utrudzenia; ocierała go rękawem grubiej koszuli, zawiniętym aż po łokieć, poczem znowu nagie ramiona swe zanurzała w wodzie, pieniącej się rozpuszczonem w niej mydłem. Niekiedy zbliżała się do ogniska i rzucała w płomień ciężkie duszki żelazek, albo odejmowała od ognia kociel z gorącą wodą i dźwigała go ku balii, stękając z cicha.

U nóg pracującej kobiety tej siedziało lub pełzało drobne dziecię; dwoje innych, chłopak lub dziewczynka, wbiegali do izby i wybiegali z niej z tententem nóg bosych i hałasem swawoli lub płaczu. Chłopak silny i z twarzą ponurą choć śmiałą, ile razy wbiegał do izby, zarzucał ramiona na szyję matki i całował głośno oba rozognione a wilgotne jej policzki; dziewczynka chwytiała na ręce najmłodsze dziecię i skakała z niem po izbie, śpiewając. Gdy dzieci wybiegły, słyhać było znowu tylko plusk wody w balii, trzask ognia i od czasu do czasu stękanie lub gniewne jakieś, niecierpliwe, mruczenie praczki. Czasem przestawała ona na chwilę pracować i szemrać, wyprostowała się i, z brodą wspartą na dłoni, stała nad balią nieruchoma, szklistym wzrokiem patrząca kędyś — w młodość swą minioną, a może jaśniejszą, w teraźniejszość ciężką, czy przyszłość swych dzieci.

Gdyby ktokolwiek był w izbie owęj, dostrzegł-by jeszcze małe dziecię, napół nagie, bo grubą, bardzo krótką koszulką okryte, siedzące w kątku izby za stojącą tam wielką, rozstrzępioną miotłą. Suche i kolczate gałęzie miotły, za każdym poruszeniem się dziecka, strzępiły mu gęste włosy coraz wyżej i wyżej, lecz ono spoglądało z za nich na wijące się płomień ogniska, na iskry z nich tryskające, na wyjmowane z ognia duszki żelazek, tak rozpalone, że iskrzące się szkarłatem i złotem, na rozmydloną wodę, wylewającą się z balii i ciekącą po podłodze pienistemi strumieniami, na dużą deskę do prasowania, której koniec jeden piętrzył się śnieżną już i wygładzoną bielizną, i napół-otwartą szafę z głębokiem ciemnym wnętrzem. Kiedy ogień palił się szeroko i zlocisto, z trzaskiem wesolym, dziecię uśmiechało się spokojnie i nieruchomo; gdy rój iskieł tryskał z niego w górę, a grad rozżarzonych węgla wylatywał z komina, padając aż na środek izby, śmiało się ono cichym, lecz długim i nieutulonym śmiechem. Niekiedy blask ognia dosięgał kątką, w którym siedziała dziewczyna, zlocąc twarz jej śniadą i powierzchnią czarnych oczu, wtedy wyglądała ona z za rozeg miotły wesoło i figlarnie; lecz gdy przygasły płomień, kryła się w mroku i tylko widać było dwie nóżki nagie i chude, nieruchomo wyciągnięte na chropowatej desce podłogi.

W południowych godzinach chłopak i dziewczynka wbiegali do izby i z wesołemi krzykami czepiali się spódnicy matki, która odejmowała od ognia garnek z żywnością. Siadali na ziemi i z misy, stojącej na ławie, jeść poczynali. Wtedy — w kątku, gdzie stała miotła odzywał się szelest. Nagie chude nóżki poruszały się i przebywały izbę w kierunku dzieci jedzących i jadła; w wędrowce tej dopomagały im też z razu i drobne ręce, poznacone czerwonymi szramami, okryte tu i owdzie silnymi piętnami oparzenia kipiátkiem lub ogniem.

Zaledwie jednak dziecię dosięgło kresu swój podróży i wyciągało rękę ku łyżce drewnianej, którą praczka nieodmiennie kładła na ławie obok tych, któremi jadły jój dzieci, starszy chłopak uderzał je łyżką swą po głowie, czole, lub plecach, poczem śmiał się głośno, a ono coprędzej, ze zwinnością kota, kryło się pod ławę. Kobieta wołała czasem na syna gniewnie i krzykliwe:

— Pozwól jój jeść!

Czasem nic nie mówiła, zapatrzona w ogień lub w głąb' balii. Mała córka jój trzymała w ramionach mniejszego od siebie braciszka i ze śmiechem, z pocałunkami, wlewała mu w usta ostudzoną starannie strawę; od chwili do chwili wyjmowała z krupniku kartofle i rzucała je pod ławę, gdzie chwytano je i zjadało przytulone do ziemi dziecię, a najstarszy chłopiec, pochylając się, zaglądał ku niemu, i śmiejąc się, wołał:

— Julianka! na tu, na! chwytaj!

O szarzej godzinie praczka dawała dzieciom po kawałku chleba; Julianki nie omijała. Jeżeli pilnej nie miała roboty, gasiła ognisko i przy świetle małej świeczki łojowej szyła, cerowała, latała pstrą i lichą odzież. Dzieci spały; niekiedy jednak ze snu budziło je szybkie poruszenie matki, zrywającej się ze stolka. Robota jój spadała z kolan na ziemię, a ona, stojąc nieruchomo z przechyloną głową, wsłuchiwała się w głosy, przylatujące do wnętrza izby słabem jeszcze echem, bo z daleka, kędyś z ulicy.

Były to odgłosy chrapliwej pieśni, męzkim, basowym głosem wyśpiewywanej, a przerywanej bezładnymi wykrzykami lub wybuchami pijanego śmiechu. Echa te zwiastowały zbliżające się przybycie ojca rodziny, który w różnych domach miejskich pełnił służbę kucharza.

Człowiek ten nieczęsto odwiedzał rodzinę swą; żona jego zapracować musiała sama na siebie i na dzieci; ile razy przecież chrapliwy śpiew jego ozwał się na ulicy, kobieta rozpoznawała go uchem wprawnym, a zanim dziedzinec zatętniał pod ciężkimi jego stopami, przebiegła izbę niespokojnie, wzrokiem błyszczącym i ruchliwym szukając najtajemniejszego kątku, w którym ukryć-by mogła trochę miedzianej monety, owiniętej w płócienną szmatę.

W kilka chwil potem wielki hałas podnosił się w izbie. Był to gruby krzyk męzkiego głosu, a wtórował mu piskliwy, ostry, zanoszący się wrzask kobiecy, z razu pojedynczo, potem z towarzyszeniem pisków, jęków i szlochań dziecięcych.

Julianka budziła się nagle i wnet zaczynała drżać na całym ciele. Szeroko roztwartemi od trwogi oczyma patrzyła jednak przed siebie, po-przez suche gałęzie przysłaniającej ją miotły. Wtedy, przy mętnym oświetleniu łojówki, widywała wysokiego, barczystego mężczyznę, podnoszącego pięść i opuszczającego ją na plecy kobiety, która wydobywała z piersi swój przeraźliwą gamę krzyków, i rzucała gwałtownie ramionami, usiłując ciosami odpłacić za ciosy; widywała, jak ogromna ręka mężka chwytano splątany warkocz kobiecy, i dopóty w dół go ciągnęła, dopóki kobieta nie runęła na ziemię, wijąc się u stóp mężczyzny z wściekłości i bólu; jak starszy chłopak, broniąc matki, rzucał się na ciało jój pod stopy ojcowskie i, podnosząc twarz swą zuchwałą a rozżarzoną, ciskał ku ojcu z iskrzących się oczu niezawistne spojżenia; jak młodsze dzieci z trwogi wielkiej spadały z matczynej łóżka na ziemię, drżały i szlochały; jak następnie mężczyzna znajdował pieniądze, ukryte przez kobietę kędyś za belką sufitu lub w głębi komina, i odchodził, rzucając drzwiami, aż drżały wążle ściany izby, a kobieta, po odejściu jego, z ciężkością dźwigała się z leżącój postawy, siadała na ziemi i, z twarzą ukrytą w czerwone dłonie, płakała głośno z razu, a potem tak cicho, że można było prawie słyszeć, jak lzy jój strumieniem wielkim spływały na podartą spódnicę, okrywającą drżące jój kolana.

Na wszystko to spoglądało, wszystkiego tego słuchało dziecię, siedzące w najciemniejszym kąciuku, a słuchając i patrząc, tuliło się coraz mocniej do ściany, albo rękoma obejmując miotłę, przyciskało ją do siebie przerażonym giestem.

Raz jednak, wśród jednej ze scen podobnych, zmartwiała całkiem z trwogi. Spojrzenie wysokiego, barczystego mężczyzny padło na ciemny jej kątek. Było-to spojrzenia oczu wypukłych, czarnych, groźnie pałających wśród ogromnej, ponurzej twarzy. Dziewczynka, spotkawszy się wzrokiem ze spojrzeniem tępym, zmartwiała całkiem, i niewyraźnie, bardzo niewyraźnie słyszała, jak mężczyzna zapytywał kobiety o pieniądze, które *ludzie* płacą jej za podrzutka, i jak kobieta odpowiedziała z krzykiem, że dawno, dawno nikt jej za utrzymanie jego nic, nic nie płaci, bo ludzie, którzy płacili wprzódy, wynieśli się z tego podwórza, a nowi słuchać o nim nie chcą.

Wtedy mężczyzna postąpił ku ciemnemu kątkowi, a Julianka zamknęła oczy i czuła tylko, że silna ręka pochwyciła skraj grubiej jej koszuli, że niesiono ją tak przez chwilę, i rzucono na ziemię przed drzwiami domu. Potem już nic nie widziała i nie słyszała, tak zupełnie, jakby spała głęboko.

Gdy otworzyła oczy, cisza głęboka panowała dokoła, nagie nogi jej pograżone były w trawie, zwilżonej deszczem, a mokre zielska chłodnym dotknięciem muskały szyję jej i plecy. Dziecię drzew zaczęło znowu i lękać się bardzo. Czego? nie wiedziało samo. Wszystkiego zapewne. Grubego głosu ludzkiego, który brzmiał mu jeszcze w uchu, ciężkich obłoków, sunących nisko pod dżdżystym niebem, mokrych chwastów, które, jak zimne gadziny pełzły mu po nagim ciele, gałęzi drzew, które w szarym zmroku, poruszały się i szemrały, nakształt widm czarnych, wiodących z sobą ponure rozmowy.

Wśród ciemności tej i wszystkich tych strasznych dla niej przedmiotów, przed oczyma Julianki błysnęło w dali jedno samotne światło. Było to bledziutkie, drobne światełko, drgające w małym oknie, umieszczonym w rogu podwórza; po długim też wahaniu wstała z ziemi, i powoli bardzo, bo ogarniał ją wciąż strach nadzwyczajny, i drobne jej stopy plątały się wśród zielsk, wysokich a mokrych, poczęła dążyć ku mdłemu światełku.

W rogu podwórza znajdowała się izdebka, mniejsza jeszcze i niższa niż ta, którą zajmowała praczka ze swą rodziną, ale wcale inaczej wyglądająca. Tam ściany i sufit czarnemi prawie stały się od dymu i pyłu, tu zachowały one swą przedwieloletnią białość, bo starannie snadź chroniono je i czyszczono; tam od nieustannie płonącego ogniska powietrze było gorące, upalne i duszne, tu panował ciągle chłód przejmujący i nasiąkły wilgocią, albowiem w piecyku małym i kruszącym się w gruzy nigdy prawie zjawił się ogień. Izdebka ta mieściła w sobie stare bardzo łóżko z pościelą tak szczupłą, iż niemal jej widać nie było, skrzynią drewnianą, przykrytą rozpadającym się w szmaty dywanikiem, stół trochę kulawy, lampkę z długim kopącym kominkiem, watowaną salopkę, wiszącą na ścianie, wielki czarny krzyż nad łóżkiem, i — starą, małą kobiecinę, która, siedząc na skrzyni, przy świetle lampki robiła siatkę z bawełny.

Była to istota drobna i niziutka, z plecami przygarbionemi i ciałem wyschlęm. Ubrana była w wytarty, watowany szlafrok, niesięgający ziemi, na głowie nie miała nic, oprócz rzadkich siwych włosów, nierównemi pasmami opadających na plecy jej i czoło.

Pochyliła twarz nisko nad robotą swą, a małe, pomarszczone jej ręce szybko poruszały iglicą i kłębkami. Przytęp mówiła wciąż do siebie przyciszonym pół-głosem, ale, mówiąc, poruszała daleko mniej ustami wklęsłemi i tak prawie białemi, jak twarz cała, niż czołem, którego liczne zmarszczki podnosiły się wciąż w górę, to opadały, przybliżały się ku sobie lub rozbiegały, tak zupełnie, jakby tajemniczemi znakami opowiadały komuś niewidzialnemu długą jakąś, zadziwiającą historią.

Nagle malutka siwa pracownica ta podniosła głowę. Powieki jej, czerwono świecące z za wielkich szkieł okularów, mrugać poczęły. U niskich zamkniętych drzwiczek ozwał się cichy szelest. Umilkł i ozwał się znowu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wymówiła kobieta. Nie było odpowiedzi. Podniosła rękę do czoła, jak-by przeżegnać się chciała, lecz u drzwi zaszeleściło mocniej i dało się nawet słyszeć bardzo ciche jakieś jęknięcie, czy łkanie.

Wstała i, nadstawiając ku drzwiom ucha, głośnieję zapytała:

— Kto tam?

Za drzwiami cichutki głos odpowiedział:

— Julianka.

Gdyby głęboka cisza nocna nie panowała dokoła, stara kobieta nie usłyszała-by głosu tego, tak był on cichym. Było to westchnienie raczej, niż głos. Usłyszała i niechętnie rzuciła ręką. Wzięła jednak lampkę i, idąc z nią ku drzwiom, gderliwie mruczała.

— A że też te dzieciśka nigdy mi spokoju nie dają! We dnie mi urwis ten kamień przez okno rzucił, a teraz oto, śród nocy, przychodzi tu...

Otwierając drzwi mówiła jeszcze, coraz to głos podnosząc:

— Czegóż włóczysz się nocami?...

Tu umilkła i, lampkę swą nisko trzymając, patrzyła ku ziemi.

W drzwiach ukazała się i u progu nieruchomo stanęła Julianka. Nagie nogi jój, widzialne do kolan z pod krótkiej koszuli, drżały i ugiwały się pod nią, bujne krople deszczu gęsto osypywały włosy jój i twarz.

Stara kobieta, milcząc już, drzwi zamknęła i wzięła dziecko za rękę.

— Czego ty tu przyszłaś tak późno w nocy? — zapytała.

Długo nie było odpowiedzi. Po chwili dopiero dziecko odpowiedziało z cicha:

— Wyrzucili.

— Aha! — przeciągle rzekła kobieta i, usiadłszy na kufierku swym, patrzyła na dziecko.

— Wyrzucili cię! — powtórzyła, — a któż cię wyrzucił?

— Pan! — odpowiedziało dziecko.

— Pan! to znaczy Jakób, obrzydłe pijaczysko to, co tu po nocach takie hałasy wyprawia. Bił żonę? co?

— Bił! — potwierdziło dziecko i zaszlochało.

— No proszę! bił znowu! a to kiedyś kryminalista będzie z niego, ani chybi! a ciebie wziął i tak bez ceremonii za drzwi wyrzucił, na deszcz, chłód i noc! Zkąd-że ci znowu przyszło do głowy przyjść do mnie? Ot, pewno dlatego, że ci tam onegdaj chleba odrobinę dała. No, a chcesz teraz mleka?

— Chcę, — głośniej daleko, niż wprzód, dziecko odrzekło.

Stara pochyliła się i wydobyła z pod stołu mały garnek, przykryty papierem. Podała go dziecku.

— Wypij połowę, — rzekła, — a resztę ja jutro sama na śniadanie wypiję. No, — dodała, — i tobie też dam trochę!

Dziecię piło chciwie, lecz gdy dosięgło połowy zawartości garnuszka, stara mu go z rąk odebrała i znowu schowała pod stół.

— Czegóż tak trzęsiesz się cała, jak-byś miała febrę, hę? czy ci zimno? Czy to innego oddzienia nie masz, tylko ot tę koszulinę? — pytała się stara.

— Nie masz, odpowiedziała Julianka.

— No, to już ja ci z pewnością nie dam, bo mi ot też ostatni łachman drze się na plecach. Tylko tam jeszcze jest jakaś szmata...

Ściągnęła z łóżka chustę dużą, podartą, istną szmatę, i owinęła nią, spowila w nią prawie, dziecko. Potem zaprowadziła je do kąta, pomiędzy piecem i ścianą.

— Teraz usiądź tu, albo połóż się i śpij. Ot! chustkę mi tylko moją zabrałaś i nie będę miała czém okryć się w nocy... chyba tym oto szlafrokiem... no, śpij spokojnie... Jakób tu nie przyjdzie.

Julianka usiadła, ale, pomimo zmęczenia się, nie usypiała, lecz patrzyła na nową opiekunkę swą, która siedziała znowu na skrzyni, robiła już swą siatkę i wciąż mówiła:

— A ja tu jeszcze kawałek siatki zrobię... nie późno... nie późno... jedenasta godzina nie biła jeszcze na farnym zegarze, a do jedenastej trzeba zawsze robić siatkę, nie co innego... włóczkowe roboty robią się w dzień, bo oczy więcej męczą... oj! oczy! oczy uciekają!

Westchnęła i spojrzła ku kątkowi, w którym siedziało dziecko.

— Nieboractwo! ten drągał Jakób do kryminału kiedyś pójdzie, a i syn jego kryminalistą będzie, ani chybi! jabłko od jabłoni... Kamienie mi tu śmie rzucać przez okno! Patrzcie go! gdyby tak trzydzieści lat temu, kazała-bym mojej służbie złapać łotra i dobrze go skarcić... moja służba! oj! była kiedyś, była! ale już dawno jój niema! ktoby się był spodziewał...

Przy ostatnich wyrazach fałdy czoła jój tak podniosły się w górę, jakby ogarnięte były niezmierném zdziwieniem, a pasma siwych włosów żałośliwie opadały na nie.

W tém, kędyś, w dalekim środku miasta, kościelny zegar wybijać począł godzinę. Stara kobieta wyciągnęła w górę cienki, biały palec, i liczyła:



— Raz! dwa! trzy! cztery!

Gdy wyrzekła jedenaście, zegar bić przestał. Wstała i składać poczęła swą robotę.

— Dawniej siedziało się do pierwszej i do drugiej po północy w salonie... z gośćmi... Salon! oj! oj! był kiedyś, był! ale dawno go już niema... jest za to ta oto klitka!... kto-by się, był spodziewał! — Zdjęła okulary i mrugała powiekami. — Żeby tak dawne oczy moje, wyszyła-bym dywan taki, jak był ten, co przed kanapą moją kiedyś leżał! Ot, wzięła-bym za niego pieniędzy gmach, ale oczy... oj! oj! są jeszcze, są, ale już uciekają... a jak do reszty uciekną...

Tu nietylko zmarszczki czoła jój poruszały się żwawo, ale i głowa cała trząść się zaczęła, tak zupełnie, jak gdyby przepowiadała, że coś straszego, okrutnie straszego stać się musi, gdy oczy do reszty uciekną.

Gasząc lampkę, szeptała: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”, a potem, wśród ciemności, kładąc się na zaledwie przykrytej słomie, wymówiła jeszcze parę razy:

— Kto-by się spodziewał? kto-by się kiedy tego spodziewał!

W kątku, pomiędzy piecem a ścianą, gorączkowo i niespokojnie śpiące dziecko zaszepotało:

— Wyrzucili!...

Nazajutrz Julianka, wnet po otworzeniu oczu, zaśmiała się głośno i srebrzyście. Co obudziło śmiech jój? Któż wie? to może, co sprawia, że o dnia brzasku śpiewają ptaki, i że złoty owad wesoło brzęczy, wieszając się w zaraniu na promieniu słońca.

Promień wschodzącego słońca zaglądał w okno izdebki i ślizgał się po siwych włosach małej staruszki, która, drobne, suche ręce swe nabożnie spłotłszy, przez małą szybę patrzyła ku górze i pół-głosem mówiła: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”.

Usłyszawszy śmiech dziecka, powiedziała: „Amen, “ i odwróciła twarz ku izdebce.

— Obudziłaś się! — rzekła, — spałaś dobrze? ciepło ci było?

Juliance ciepło było i dobrze w spowiciu, urządzonej ze starój, grubój chustki. Siedziała więc chwilę jeszcze w kątku swym, podobna do małej, nieruchomój mumijki, z błyszczącymi oczyma i śmiejącymi się ustami. Potem zerwała się żwawo i, ciągnąc za sobą chustę, która, rozwinięta, przykrywała już tylko jój plecy, biegła i wyciągała ręce do podawanego sobie przez starą kobietę garnuszka.

— Napij się mleka, ale i mnie trochę zostaw! — rzekła stara.

Julianka piła; z wyrazu oczu jój znać było, że dziwiła się bardzo temu, iż pije rzecz tak smaczną.

— A teraz ja! ot, widzisz, to całe moje śniadanie. Połowę go oddam tobie, niech ci na zdrowie służy! dawniej pijałam herbatę, kawę, albo czekoladę, ale bardzo dawno temu. Teraz kontenta jestem, kiedy mam trochę mleka. Kto-by się był tego spodziewał! No! niema co! człowiek bywa na wozie i pod wozem! ja na wozie już byłam, spadłam z niego i nigdy już więcej nie będę; ale ty może jeszcze będziesz, kto wie? mała jesteś, życie przed tobą. Tymczasem nie masz innego odzienia, jak tę oto koszulinę, z której dawno wyrosłaś. Kolana ci z pod niej widać, pfe! to nieskromnie. Trzeba mi tam dla ciebie wyprosić sukienkę jaką starą u moich znajomych państwa.

Mówiąc to wszystko, mała staruszka wkładała na siebie watowany swój zrudziały szlafroczek, i siwe włosy okrywała dziurawym nieco czepcem z białego muślinu.

— Bo widzisz, ja mam dużo znajomych państwa, którym roboty moje sprzedaję... ot tak, chodzę od domu do domu i sprzedaję... po schodach mi ciężko, a na dziedzińcach tych znowu, gdzie jednopiętrowe domy, stoją psiska szkaradne, rzucają się na mnie i drą odzież... jeden mię nawet w nogę ukąsił... opuchła cała i tydzień potem chodzić nie mogłam. Czasem to i gburzyska, te lokaje albo kucharki, łają mię i odpędzają, krzycząc na mnie: żebraczka!... Kto-by się był tego spodziewał!

Szklisto-błękitne oczy jój z za szkarłatnych powiek spojrzały kędyś daleko, daleko w przestrzeń.

— Żebraczka! żebraczka! a jaka to ja żebraczka jestem! alboż nie pracuję? albo to moje roboty nie piękniejsze od tych, co po sklepach na wystawach wiszą? Serwety, koldry, antolarze, patarafka robię i robić będą, dopóki oczy nie uciekną... ot już, gdy uciekną...

Głowa jój zatrzęsła się znowu tak, jakby się czegoś bardzo nagle przelekła, a zmarszczki na czole rozbiegły się w różne kierunki w wielkim niby popłochu.

Podniosła chustkę swą, która z ramion dziecka upadła całkiem na ziemię i, zarzuciwszy ją sobie na plecy, głowę okryła czarnym kapturkiem.

— Teraz, — mówiła, — idź ty sobie na dziedziniec: Ja iść muszę na miasto i drzwi zamknę. Nad wieczór możesz przyjść znowu do mnie. Mleka napijesz się i przenocujesz. Obiada ja w domu nie jadam, bo ot, widzisz, że piec rozwalił się i zapalić w nim nie można. Chodzę sobie tedy do jednej kobieciny poczciwej, która kominek ma. Ja daję parę groszy, ona daje parę groszy, i przystawiamy sobie do ognia garnuszek z krupnikiem albo z ziemniakami. Kiedy roboty mam dużo, siedzę w domu i jem na obiad obwarzanki, rozmoczone w wodzie... Kto-by się był spodziewał!... No, idź-że już na dziedziniec, bo drzwi zamykam, a przychodzi nad wieczór, może i przyniosę ci z obiadu mego krztę jakiej żywności...

Wyszły obie. Starowina podreptała na ulicę, dziecko w krótkiej koszuli stanęło na dziedzińcu i oparło się plecami o ścianę domowstwa. Nie śmiało się już, bo dzień był wietrzny i zimny, a jesienne słońce świeciło, nie ogrzewając. Julianka drżąc zaczęła od chłodu, i po chwili puściła się ku mieszkaniu praczki. Stała przed drzwiami oficynki, stała długo. Wyciągała rączkę ku drzwiom i cofała ją.

Wtém drzwi te otworzyły się i na progu stanęła praczka, dźwigająca na ramieniu drąg gruby, z dwoma pustymi wiadrami u końców. Szła snadź po wodę. Twarz jęj nosiła ślady wczorajszych udręczeń. Obrzękła była od płaczu i sina od uderzeń. Gruba kosa jęj, zczochrana, stargana, zwisała na koszulę z porozdzieranemi rękawami. Ujrzawszy Juliankę, przed progiem jęj stojącą, gniewnie krzyknęła:

— Czego ty tu znowu przyszłaś na moję głowę! Czy ja mało męki mam i bez ciebie! albo ty moje dziecko jesteś, żebym ja ciebie potem moim karmiła, a później jeszcze za to piekło cierpiała? Precz mi idź, na oczy mi się nie pokazuj!

Gwałtownym giestem odepchnęła dziecko od progu i, drzwi zamykając, zawołała do wnętrza mieszkania:

— Antek! nie wpuszczaj mi do chaty podrzutka!

Antek nie dawał sobie mówić tego dwa razy. W krótkim spencerku i z bosemi nogami wybiegł na próg i, czyniąc poruszenia takie, jakby rzucić się chciał na dziecię, krzyknął:

— A pójdziesz!

Julianka cofnęła się kilka kroków i stanęła. Chłopak postąpił znowu ku nięj i powtórzyl wołanie swe.

Trwało tak parę minut, gdy w oknie oficynki ukazała się głowa ośmioletniej dziewczyny, z długimi, płowymi włosami, i zawołała:

— Antek! Antek! chodź-no tu, pomóż mi ogień dla matuli rozpalić, bo ja nie zdążę...

Chłopak wbiegł do mieszkania, a Julianka pozostała na miejscu, do którego ją przygnał. Stała nieruchoma i na ścianę oficynki patrzyła. Nie płakała i od zimna już nie drżała. Gdyby ktokolwiek spojrział teraz w te oczy dziecięce, suche i szeroko rozwarte, nie znalazł-by w nich wyrazu boleści. Malowało się w nich tylko nadzwyczajne jakieś zdziwienie i błyskał także cichy, bo bezsilny, gniew.

Tak stojącą znalazła ją praczka, wracająca z napełnionemi wodą wiadrami. Stała, kilka sekund popatrzyła na nieruchome dziecko i, mruczając coś do siebie, weszła do oficynki. Niebawem jednak wyszła znowu, niosąc spory kawał czarnego chleba. Podała go dziecku, mówiąc:

— Na, weź! będzie ci na dzień cały! Chleba ci dam czasem, ale niech cię Bóg broni, abyś do chaty weszła. Różgą obję i w pokrzywy rzucę!

Julianka wzięła chleb, ale nie podniosła go do ust, tylko długo jeszcze stała i patrzyła na ścianę oficynki. I wtedy dopiero, kiedy drzwi otworzyły się na oścież, a przez nie, goniąc się z hałasem, wybiegły dzieci praczki, ona pobiegła także, pobiegła jak mogła najprędzej małemi stopkami swemi, ku staremu, wysokiemu gmachowi. Tam znikła w wielkiej sieni, nad którą w tęg chwili właśnie ozwał się doniosły, ponury turkot maglu.

W kilka miesięcy później, kiedy mała staruszka wracała z wycieczek swych po mieście do domu, żydówka Zlotka, siedząc za progiem sklepiku swego, zawołała na nią:

— Pani sędzino! pani sędzino! czy to już teraz pani sędzina opiekujesz się podrzutkiem!

Staruszka stanęła i sarknęła:

— Ot, moja kupcowo! nie miała baba kłopotu...

— Zapewnie! zapewnie! Jejmość sama potrzebowała-byś już opieki! No, ale tymczasem dziewczyna u pani sędziny jé i nocuje.

— Jé, kiedy jest co, a nocuje, kiedy na dworze zimno. U mnie bo chłód taki sam prawie, jak na dworze... Kto-by się był spodziewał!

Podreptała ku bramie, w dziedziniec, pół-głosem mówiąc do siebie:

— Opiekujesz się! opiekujesz się! a jak ja opiekować się mogę? czy ja magnatka! Dawniej opiekowałam się ubogimi dziewczętami, stroiłam je, żywiłam, edukowałam. Teraz one gdzieś fruwają, latają po świecie, a o mnie ani myślą... Kto-by się był spodziewał!.. Opiekujesz się! jak ja teraz dzieckiem opiekować się mogę? kłopot to tylko dla głowy mojej... czy to ja jéj matka, albo babka?

Otwierając drzwi mieszkania swego, starała się nie wypuścić z ręki zawinięcia z pieru, zawierającego w sobie mały kawałek gotowanego mięsa i parę kartofli.

— To dla dziecka! — mówiła. — Ale gdzie ta dziewczyna wiecznie lata! — I, wychyliwszy się przez okno, piskliwym i trzęsącym się głosem wołała:

— Julianka! Julianka!

Na wołanie to dziecko przybiegało i, wsunąwszy się do malutkiej, białej izdebki, chciwie zjadało podane mu pożywienie. Stara kobieta siadała na skrzyni swój, i wydobywała ze spłowiałego worka różnobarwne włóczki.

— Siadaj, — mówiła do dziecka, — ot tu przy mnie, na ziemi, i rób pończochę.

Wkładała w drobne ręce jéj druty i kłębek, a potem schylona uczyła:

— Nitkę trzymaj na palcu... drut włóż pod nitkę... teraz przewlec... ot widzisz... i zrobiło się oczko... no, nie spuszcza nitki z palca... rób tak ciągle...

Prostując się, stęknęła i, dobierając kolory włóczek swych, zaczynała mówić znowu:

— Nauczyć cię chcę, czego mogę... pacierz mówić i pończochę robić... Innych rzeczy niech cię tam już ludzie nauczą... ja tylko zacznę edukacją twoją... już-to ja zawsze wszystko dla ciebie zaczynam... ot i wtedy, kiedy to cię tam przy bramie podrzucono, ja pierwsza dałam czterdziestkę rymarzowi, który na ciebie składkę zbierał...

Dziecię opuściło na kolana druty ze splątaną bawełną i, wlepiając w twarz staruszki uważne oczy, zapytało:

— A kto mnie tam przy bramie podrzucił?

Mała staruszka niespokojnie poruszyła się na swój skrzyni, i przeleknionym czegoś wzrokiem spojrzała na dziecko.

— A Bóg że go wie, moja droga, Bóg tylko wie, kto to był taki, — mówiła z pomieszaniami niezmiernym; potem, namyśliwszy się nieco, dodała — wielki ptak, ten zapewne, który malutkie dzieci po świecie roznosi...

Julianka zdawała się głęboko przez chwilę namyślać, potem zapytała znowu:

— A dlaczegoż ten ptak nie zaniósł mię do pani Jakóbowej, albo do pana rymarza, albo do kogo innego, ale tak wziął i pod bramą rzucił?

— No, no, — odpowiadała staruszka, żywo bardzo przewlekając szydelko przez oczka włóczkowe, — co ty mi tam głowę kołatasz pytaniami swemi! na co ci to wiedzieć? ot rób pończochę i ucz się pacierza. Mów: Wierzę w Boga...

— Wierzę w Boga... — szepnęło dziecko, walcząc z drutem swym, który nie chciał jakoś wchodzić w zbyt ciasne oczko pończochy.

— Wszchemogącego...

— Wszchemogącego, — powtórzyło dziecko.

— Ale ty nie rozumiesz, co to znaczy... ja ci to zaraz wytłumaczę... Boga nazywamy Wszchemogącym dla tego, że on wszystko może... rozumiesz?

Julianka znowu nie robiła pończochy, tylko z rękoma na kolanach i podniesioną głową, zamyślonie oczy wlepiała w twarz swój nauczycielki. Po chwili zapytywała:

— A dlaczegoż Pan Bóg nie kazał temu ptakowi zanieść mię do pani Jakóbowej, albo do pana rymarza... ich dzieciom lepiej niż mnie...

Siwa głowa staruszki aż zatrzęsała się cała.

— No, no, — zaszepotała, — w młodej dziecinie... z kąd jéj się takie pytania biorą!

Potém tłómaczyła zwolna i z wielką powagą:

— Bóg wszystko może, i litość a dobroć Jego granic nie ma... On chciał pewnie, żeby ci dobrze było, ale ot tyle tylko, że dał cię złym ludziom, jakimi...

— To nie ptak wielki, ale ludzie rzucili mnie tam pod bramą! — wykrzyknęło nagle dziecko.

Stara mieszała się coraz bardziej. Rozgniewała się niby srodze i pogroziła dziecku szydełkiem.

— No! no! cóż to znów pytać będziesz i pytać! a kto? a jak? a dla czego? Kiedy ci źle na świecie, to widać, że Pan Bóg chciał, aby tak było! Z wolą Bożką zgadzać się trzeba zawsze. Pamiętaj, abys zgadzała się zawsze z wolą Bożką! cóż? czy zgadzasz się?

— Zgadzam się, — z cicha odpowiedziało dziecko.

— Ot tak dobrze! widzisz, i mnie życie nie lekkie, a jednak zgadzam się! nie szemrzę i nie pytam o nic, choć czasem i mnie dziw wielki bierze, jakim sposobem moja starość zrobiła się niepodobna taka do mojej młodości... Ktoby się był spodziewał!... Rodziców miałam, posag piękny, potem męża takiego dobrego... Sędzią był... szanowali go wszyscy... żyliśmy sobie, jak król i królowa, ot w tém tam mieście... w tém samym... tylko dzieci Bóg nie dał, a jak mąż umarł, i majątek gdzieś stopniał, i krewni gdzieś się podzieli... i ot świat ten pustynią mi, a ręce karmiciele, no i oczy także... bo bez oczu ręce nic nie robią... Ktoby się był spodziewał?... ot widzisz! teraz proszę już Boga o to tylko, żeby mi oczy nie uciekły... a uciekają! Kiedy nauczysz się pacierza, poprosisz i ty.

— Poproszę! — odpowiedziało dziecko.

Tymczasem mrok zapadał i stara jęmość zapalała lampkę.

— Dobrze-by było teraz herbaty napić się, — mruzczała, — starym kościom zimno, i w gardle po tym słonym krupniku schnie... cóż, kiedy niema zkad jój wziąć! Ktoby się był spodziewał?... No, ciemno ci już tam na ziemi pończochę robić... złóż ją, przysuń się do mnie bliżej i ucz się pacierza; mów: Opuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...

— Jako i my odpuszczamy... — powtarzało dziecko, lecz umilkło nagle, a po chwili wymówiło nieśmiało, jakby o pozwolenie prosząc:

— Pani! ja nie odpuszczę!

— Czego nie odpuszczisz? komu? z zadziwieniem w głosie, pytała staruszka.

— Nie odpuszczę Antkowi, — energiczniej odpowiedziała Julianka, a oczy jój ogniście połyskiwały w zmroku.

— Pfe! to nieładnie! taka zawziętość w dziecku! wstydz się! Antek urwis i łotr, ale opuścić mu trzeba, bo Pan Bóg tak kazał. Opuść mi zaraz Antkowi! cóż? odpuszczasz?

Dziecko milczało chwilę; potem zawołało nagle i gwałtownie:

— Nie odpuszczę! nie odpuszczę! nie odpuszczę! tak mi Boże dopomóż! żebym tak na świat patrzyła! żebym tak nie chorowała! żeby tak nieprzyjaciele moi poumierali! nie odpuszczę! Kiedy zrobię się bardzo silna, złapię go i wytlukę... ot tak, jak pan Jakób żonę tłucze... Żeby jemu Pan Bóg nie odpuścił... żeby jego...

Pięści drobne ścisnęła i oczyma błyskała z nienawiścią wściekłą i namiętą. Potok zaklęć i przekleństw, które z ust jój małych wychodziły, zapożyczonym był z dykcyonarza wszystkich mieszkańców wielkiego podwórza: Jakóba, Jakóbowej, Antka, rymarza, Złotki i t. d. Stara kobieta przerwała jój groźnym giestem:

— Milcz mi zaraz i idź za drzwi, kiedyś taka...

Julianka podnosiła się z ziemi i szła ku drzwiom. Gdy była już przy progu, stara zawołała:

— Jeżeli odpuszczisz, pozwolę ci wrócić i mleka dam...

Dziecię nie odwróciło się i brało już za klamkę.

— Wróć się! — wołała jejmość.

Julianka wracała i stawała przed opiekunką swą, nasępią cała, ponura.

Staruszka spoglądała na nią przez chwilę z okularów swych, potem pomarszczoną dłoń kładła na jój włosach.

— No, odpuść, — zaczynała proszącym głosem, — ja bo widzisz przed Panem Bogiem odpowiem za ciebie, jeżeli cię czegokolwiek dobrego nie nauczę... Przyszłaś tu do mnie w nocy, zziębła, zgłodniała i wypędzona... a ja zaraz pomyślałam, niech tam sobie ta młoda duszyczka przytuli się trochę do mnie, świat pustynią i mnie i tobie... ktoby się był spodziewał!... kłopot mi przytęm sprawiasz, połowę żywności mej zjadasz, i w nocy w chustce mojej sypiasz, a ja ot szlafrokiem okrywać się muszę i niszczyć go przedwcześnie... Wdzięczną być mi powinnaś i słuchać mię... Kiedy ci mówię odpuść, to odpuść! Cóż? odpuszczasz?

Przy ostatnim wyrazie dłoń stariej zsunęła się z włosów dziecka na zasępione jego czoło i gładziła je lekko.

— Cóż? odpuścisz Antkowi? — pytała proszącym głosem.

— Odpuszczę! — cicho odpowiedziała Julianka i uśmiechnęła się. Zdjąwszy z twarzy swęj pieszczącą rękę, pocałowała ją.

— No tak, to dobrze! siadaj-że teraz znowu przy mnie, a ja ci opowiadać będę historiją świętą, jak Pan Bóg stworzył świat, człowieka, i o wszystkiem, co potem było... Ja bo, widzisz, kiedyś edukacją miałam, wszystkiego potrochu uczyłam się... mowna byłam, wesola i dowcipna; ludzie mówili o mnie, że jestem miłą i wykształconą osobą... Gdzie teraz ludzie ci? gdzie?...

Westchnęła.

— Ktoby się był spodziewał?

I zwolna, uroczyście, wznosząc często w górę pomarszczony palec i przerywając wątek mowy swęj mnóstwem zbroceń i wspomnień, opowiadała Historiją Świętą dziecku, które, z głową na kolanach jej złożoną, usypiało niebawem, a spało tak dotąd, aż z dalekiej głębi miasta przyplynał poważny dźwięk farnego zegara, wygłaszającego jedenastą godzinę. Wtedy mała staruszka wstawała i starannie zwijała siatkę swą, a dziecię budziło się i, owinięte w starą chustkę, z sennemi oczyma, szło do kącika swego, pomiędzy kruszący się piec i ścianę.

W ten sposób żyły ze sobą i wzajem wspierały się dwie nędze. Po dwóch dopiero latach, stara sędzina zmieniła nieco zwyczaj swe, rzadziej daleko zaczęła wychodzić na miasto i przestała całkiem uczyć dziecko modlenia się i robót na drutach. Własne też ręce jej wolniej, coraz wolniej poruszały szydelkiem i iglicą, w zamian coraz silniej trzęsła się jej głowa, i zmarszczki czoła coraz ruchliwiej i większą jakby trwogą gnane falowały w różne kierunki. Z wysileniem nadzwyczajnem wpatrując się we włóczki, aby rozróżnić ich barwy, głębokim i pełnym dziwnych drzeń szeptem, mówiła ona do siebie:

— Uciekają już... uciekają... ot już i do reszty uciekają...

W istocie, w biały dzień nieraz brała włóczkę żółtą, zamiast różowej, a błękitną zamiast zielonej i, nieprędko dostrzegłszy omyłkę swą, prula robotę, nad którą cały dzień pracowała. Wtedy, od chwili do chwili, ostrożnie i jakby lękając się uszkodzić kruchego jakiegoś przedmiotu, końcem palca ocierała łzę z krwistej powieki.

Czasem mówiła do dziecka:

— Zmów pacierz na intencją oczu moich... Panu Bogu miłe modlitwy dziecięce...

Siadywała wciąż wieczorami na skrzynce swęj aż do chwili, w której zegar kościelny wybijał jedenastą, lecz nie pracowała tak pilnie, jak dotąd; owszem, często bardzo opuszczala ręce na kolana i, z za okularów patrząc kędyś daleko, daleko w przestrzeń, zamyslała się tak bardzo, że nawet nic do siebie nie mówiła, a zmarszczki czoła jej zbiegały się wszystkie w jedno miejsce i nieruchomą chmurą wisiały nad małą, wyschlą twarzą.

Bywało, że po dni kilka nie miewała już mleka i nie chodziła do miasta na obiad. Posyłała wtedy Juliankę do Złotki po dwa obwarzanki. Złotka, zamiast dwóch, dawała trzy, które potem stara maczała w wodzie, dawała dziecku i sama jadła.

Raz Julianka usłyszała ją szemrzącą:

— Nadchodzi już godzina... ot i nadchodzi już straszna godzina...

Julianka nie pytała jej o jakiej mówiła godzinie, bo zajęta była całą zniknięciem dnia tego z małej izdebki łóżka i jednej poduszki, która dotąd na niem leżała. Na miejscu, gdzie stało ono, leżała na ziemi słoma, przykryta grubem płótnem, z malutką sianem wypchaną poduszczyką u węzłowia. Potem znikła ze ściany watowana salopka, i stołu już pod oknem nie było, a w izdebce została tylko nędzna pościel, leżąca na ziemi, wielki czarny krzyż nad nią i skrzynia pusta, naga, na której mała staruszka siedziała już całkiem beczynną, powiekami strasznie nabrzmiałemi mrugała wciąż i powtarzała: ktoby się spodziewał? ktoby się był tego spodziewał?

Pewnego ranka, dziewczyna, budząc się w kątku swym o dnia brzasku, usłyszała starą, mówiącą do siebie:

— Boże Wszchemogący! dlaczegoś pozwolił mi dożyć dnia dzisiejszego?

Wymówiła to z dziwnym jakimś wybuchem głosu, ale gdy w godzinę potem Julianka, widząc przez okno złoty blask słońca, wychodziła cichutko z izdebki, siwa głowa



nieruchomo już spoczywała na małej poduszeczce, z zamkniętymi oczyma. Dzień jesienny szybko przeminął. O zmroku Julianka, po kilkogodzinnym błądzeniu wśród ścieżek podwórza i ścian starego gmachu, otworzyła drzwi izdebki, aby, jak zwykle bywało, wsunąć się do niej i usiąść na ziemi przy nogach swej opiekunki. Nagle cofnęła się i stanęła za progiem w postawie osłupiałej. Cicha zazwyczaj izdebka pełną była gwaru, rozmów i grubych śmiechów. Stało w niej kilka sprzętów, dziecku nieznanych, a pośrodku, dokoła stołu, na którym stała butelka i czarka cynowa, siedzieli trzej mężczyźni, i przy świetle lojowej świecy rzucali wzajem ku sobie brudne, podarte karty. Przytém palili cygara. Kłęby dymu napępniały niską izdebkę, a z za nich, niby jedyny ślad bytności tu małej, siwej staruszki, niby jedyna tu po niej pamiątka, surowym zarysem przebijał się wiszący na ścianie wielki krzyż czarny...

Julianka długo stała za progiem nieruchomo. Potém w oczach jej kręcić się zaczęły lzy. Odeszła i, zwolna przekroczywszy bramę, stanęła na progu sklepiku Złotki.

— Pani! — ozwała się zdławionym głosem.

— Aha! to ty! a czego chcesz? — zwróciła się ku niej stara żydówka.

— Gdzie moja pani? — zapytało dziecko.

— Twoja pani?

Złotka zdawała się namyślać, czy litować nad czémś. Patrzyła na dziecko i trzęsła głową.

— Twoja pani? — powtórzyła, — a kto ją wie, gdzie ona być może! Ot! wzięła w rękę kij i do miasta poszła... Czy ona z tobą pożegnała się?

Dziecko nie odpowiedziało. Po chwili dopiero zapytało:

— Czy ona tu nie powróci?

— A czego ona ma tu powrócić? — odparła Złotka; — nie płaciła za kwatery, to i kazali jej wynieść się... a na jej miejsce przyjęli tych trzech lokajów bez służby, co to w karty tylko grają i wódkę piją... żebym ja choć z nich zarobek miała... ale gdzie tam! nabiorą na kredyt, a potém nie zapłacą...

Mruczała-by tak dalej, ale przerwał jej krzyk, rozlegający się na progu. Dziewczynka nieruchoma dotąd, zatopiła obie ręce w gęstwinie swych włosów, targała je i, przeraźliwie krzycząc, płakała całym strumieniem łez. Daremnie Złotka dobrotliwie uspokoić ją chciała głaskaniem i obwarzankiem. Odepchnęła gładząc ją dłoń, cisnęła o ziemię obwarzanek i pobiegła w ciemny, wielki dziedziniec, gdzie długo jeszcze słychać było przycichające stopniowo łkania jej i krzyki. Wychodziły one z najciemniejszego, najgłębszego kąta dziedzińca, kędy żadna gwiazdka, żadne światelko niebieskie lub ziemskie, nie oświecało drobnej postaci dziecięcjej, lgnącej ku zimnej ścianie rozplakaną twarzą, po raz trzeci już w krótkim swém życiu oddanej w opiekę mokrej ziemi dżdżystemu niebu, wiatrom zimnym, wiejącym w nocnych ciemnościach.

Odtąd można było widzieć ją wychodzącą każdego ranka z głębokiej sieni starego gmachu. Sypiała tam pomiędzy rozrzuconymi wśród śmiecia i pajęczyn szczątkami starych sprzętów. Wynalazła sobie w najgłębszym kątku odwieczny fotel, bez nóg i okrycia, z wysokimi poręczami i trochę piłśni, w której gnieździły się myszy. Gdy zimno było, wciskała się pomiędzy spruchniałe poręcze i leżała wśród nich ze skurczonymi nogami, jak w ciasnej kolebce. Z pod niej wyskakiwały myszy i, przebiegłszy po ciele jej, puszczały się dokoła fotelu w harce, pełne chrupań, pisków i szelestów. Nie lękała się ich jednak, owszem, weseliej jej było, gdy wśród grobowej ciszy, panującej w starych murach, szmer ich słyszała. Wychylała się nawet z poręczy swej dziwnej kołyski i, wyteżony wzrok zapuszczając w grube mroki, spostrzegała czasem, jak małe, zwinne stworzenia ciągnęły z chrzęstem białawe szmaty papieru, albo ze stukiem toczyły kość nagą.

W cieplejsze i jaśniejsze noce nie wtłaczała się w poręcze starego fotelu, lecz kładła się poprostu na ziemi, wśród najszerzej smugi księżycowego światła. Obok niej leżały rozsypane tu i owdzie szczątki pięknych niegdyś może rzeźb i posągów. Zajmowały one ją nierównie więcej jeszcze niż myszy. Oglądała czysto ze stron wszystkich i rękoma gładziła kamienną głowę, pozbawioną nosa a białą przy świetle księżycy, i wsparta na łokciu, wpatrywała się póty w nieruchome jej oczy, aż z głową, opartą na złamanej ręce, lub ostrym brzegu skruszonej jej piersi — usypiała.

Przez czas pewien, codziennie z rana, ujrzawszy hasającą po wielkim podwórzu gromadę dzieci, rzucała się ku niej z wyciągniętymi ramionami i wybuchami srebrzystego śmiechu. Podobną wtedy była do ptaka, który rozwija skrzydła i z głośnym szczebiotem

goni lecące stado pokrewnych mu ptaków. Jój przecież szczebiot trwał zazwyczaj krótko, i ramiona, swawolnie z razu trzepocące, opadły nakształt skaleczonych skrzydeł ptaka.

W gromadzie dzieci było kilku srogich jój nieprzyjaciół, i daremnie córka praczki, Anka, z płowemi, rozpuszczonemi włosami, rozciągać chciała nad nią opiekę swoją, daremnie, osłaniając ją rozpostartemi ramionami swemi, wołała, że ona chce się z nią bawić w konia i pozwalała jój znosić kamienie i piasek na dom, wspólnemi siłami stawiany pod zrębem stariej studni; brat jój Antek krzyczał z sił całych, że on nie myśli przepędzać czasu w towarzystwie podrzutka, a dziewczyna od krawca, z długimi, nagiemi nogami i w brudnej chustce na roztrąganych włosach, oświadczała, że jeżeli podrzutek przyjętym do zabawy będzie, ona tu nigdy więcej nie przyjdzie, pójdzie się bawić do innych dzieci, na inne podwórze i tam swoją lalkę zaniesie. Lalka ta była wprawdzie niczem więcej, jak wielkim i dość potwornym bałwanem, który ojciec krawiec ku pociesze córki swój uwinął ze szmat pstrych perkali i skrawek jedwabnych materyi; zawsze jednak towarzystwo całe przerażało się niepomniernie groźbą jój właścicielki, bo ten-to właśnie potwór zamieszkiwać miał dom, wznoszony przy studni, i do niego-to z wizytą jechały dwie dziewczynki, owiązane uprzężą ze sznurów i poprzedzane z hałasem przez trzech chłopców, uzbrojonych w bicze. Co do Anki, ta najbardziej przerażała się groźbą wiekuistego utracenia lalki-potwora, bo po matce i małym braciszku kochała ją najgoręcej na świecie.

Julianka tedy traciła jedyną swą obronicielkę, która, zasmucona trochę, oddalała się od niej, a wtedy dzieci inne otaczały ją ściśniętym kołem, uderzały ją, szczypały i z przeraźliwą wrzawą śmiechów i słów obelżywych tak ją tłoczyły, że, wyparta z pośród nich, odchodziła ona samotnie w inną stronę podwórza. Zrazu odchodziła, płacząc, lecz potem nie płakała już nigdy, tylko oczy jój iskrzyły się, a drobne usta szeptały coś cicho i gwałtownie. Zczasem zaprzestała nawet całkiem prób bawienia się z dziećmi, daremnych i pozostawiających jój tylko na ciele bolesne sińce, a nawet, ile razy przebywała dziedziniec, obchodziła swawolną gromadę, jak mogła najbardziej z daleka, skośne tylko i ponuro rzucając na nią wejrzenie.

Nie ochroniło jój to przecież od prześladowań. Antek i rówieśnicy jego, spostrzegłszy ją, biegli ku niej, udając, że chcą dopędzić ją i wybić. W zimie rzucali na nią gałki ze śniegu. To też usiłowała ona, ile możności, ująć ich wzroku, i dlatego przywykła chodzić, przesuwać się raczej tuż pod ścianami domowstw, gdzie latem przysłaniały ją nieco gałęzie krzewów i wysokie chwasty, a w zimie gromadzące się tam zasy pyłowe.

Przesunawszy się tak przez dziedziniec, wchodziła czasem na szerokie, lecz próchniejące schody stariej budowy. Jeść chciała, szukała pożywienia. Wsuwała się do sali ogromnej, z grubą podłogą i sufitem malowanym w pociemniałe od starości wianki i arabeski. Tam, z dwóch stron wielkiego maglu stały dwie kobiety, odpychające, to znowu ku sobie przyciągające szuflady pełne kamieni, które, tocząc się ciężko na grubych wałkach, huczały i turkotały monotonnie ponuro. Pod ścianami, przy stołach, robotnice inne pilnie składały wymaglowaną już bieliznę i napełniały nią kosze, które potem wynosiły, ustępując miejsca nowo przybywającym.

Otyła i dumna właścicielka maglu wchodziła często do pracowni swój, naglądała roboty i odbierała należne sobie zapłaty. Czyniąc to wszystko z powagą wielką, szeleszcząc sztywną suknią i wspaniale udzielając robotnicom rad swych, pochwał lub nagan, spostrzegła Juliankę, siedzącą przy drzwiach i z jednostajną zawsze ciekawością przypatrującą się suwanym wciąż szufladom maglu.

Jeżeli była w wesołym humorze, zbliżała się do dziecka, pulchną dłonią dotykała jego włosów i rozkazywała służącej przynosić dla niego chleba i séra. Niekiedy nawet obdarzała dziewczynę wydobywym kieszeni piernikiem. Niezawsze jednak bywała w dobrym humorze. Czasem, niezadowolona z zarobku lub na robotnice rozgniewana, przechadzała się po sali, sapiąc głośno, gderząc i łajac. Wtedy siedząca u drzwi Julianka niecierpliwiała ją. Rozkazywała jój odejść natychmiast.

— Cóż to? — mówiła, — czy ja cię tu jedna żywić mam i przyodziewać? Kiedy cię ta żebraczka z pod bramy wzięła i lichu wie na co tu przyniosła, wszyscy przyrzekali składać się na ciebie... a teraz co? do mnie tylko chodzisz a chodzisz! Czy ja magnatka jaka? Już ci pewno, że wyżej stoję od całego tałałajstwa tego, co cię teraz na kark mój spycha, ale magnatką nie jestem i siostrzenice mam, które edukować muszę... Ot i krowa mi zdechła przeszłego tygodnia... Idź sobie... nic nie dostaniesz!...

Julianka wstawała i wychodziła. Wychodziła ze starego gmachu i szła w tę stronę podwórza, w której ochryple brzęczał stary fortepianik. Stawała za małym, niskim okienkiem, nad którym zwisały się gałęzie starej lipy i, wspierając się na palce, zaglądała do izby małej, w której przy fortepianie, z wąziuchną klawiaturą i politurą spelzłą, siadywał wysoki, bardzo chudy mężczyzna, z długą białą twarzą, grał i kaszłał.

Był to niegdyś kandydat na artystę, po świecie z koncertami jeżdżący, potem metr muzyki dość wzięty, teraz suchotnik, dający na mieście kilka lekcji w tygodniu, po złotówce za lekcją. Nie był jeszcze starym, ale niezmiernie wychudzonym, a łagodne oczy jego paliły się blaskiem gorączki. Siadywał przy starym fortepianku swym godzinami całymi i grał, czasem też próbował nucić, ale wnet kaszlać zaczynał, a tony, wychodzące z pod długich, kościstych jego palcy, stawały się tak cichymi, że przechodziły w zaledwie dosłyszalne brzęczenie. Ujrawszy głowę Julianki zaglądającą mu w okno, muzyk uśmiechał się i mówił:

— Przyszedłeś? co, przyszedłeś znowu?

— Przyszedłem, — odpowiadało dziecko.

— I cóż powiesz? — zapytywał.

Julianka nie miała snadź nic do powiedzenia, bo milcząc, chwytając nisko zwisające gałązki lipy, i z ich pomocą podniósłszy się nad ziemię, siadała na otwartym oknie.

— Jak ptaszyna! — mówił muzyk, uśmiechając się ciągle.

I grać zaczynał dla ptaszyny. Nie grał wtedy nic smutnego, owszem, skoczne polki, wesołe choć tęskne walce, a nawet eleganckie kontredanse tłumnymi tonami przepelniały izdebkę i ulatywały w dziedziniec.

Julianka słuchała i czasem zaczynała przyspiewywać w takt muzyki. Cienki głosik jej mieszał się z brzęczącymi dźwiękami fortepianiku. Muzyk zaczynał śmiać się.

— Śpiewaj! — wołał ochryplym szeptem, — śpiewaj! śpiewaj!

Julianka śpiewała z coraz większym zapalem, aż głowę podnosiła i czarnymi oczyma patrzyła w górę, na niebo błękitniejsze z za gałęzi drzewa. Nagle przestawała śpiewać i jęknęła mówiąc:

— Jeść chcę!

Wtedy muzyk wstawał od fortepianu i dawał dziecku garstkę pastylków od kaszlu. Nieraz też wynajdywał pomiędzy stosami starych, opylonych nut kawałek bułki zczerstwiałej, lub zimnej pieczeni.

Dziecko chrupało pastylki, lub chciwie pożerało mięso, a wysoki, chudy muzyk stał przy nim u otwartego okna. Oczy jego, rozpalone gorączką, przybierały wtedy wyraz przepaścistej zadumy. O czym tak myślał w chwili, gdy wynędzniała, biała ręka jego, machinalnie przesuwając w palcach gęste kędziory dziecka? O zgasłych na zawsze, świetnych ambicyach niedawnej młodości? o wesołych przyjaciółach, z którymi razem roił o bogactwie i sławie? o pięknej dziewczynie, którą kochał kiedyś? o tym, że nie miał nigdy żony, ani dzieci? o samotności swjej, biedzie, śmierci blizkiej i grobie samotnym, nad którym zapłaczę chyba obłok dżdżysty, a nie wyrosnie żaden liść śnionych niegdyś wawrzynów? To tylko pewno, że, gdy zamyślał się w ten sposób, kaszlać zaczynał coraz silniej i, zbudzony tym z zadumy, mówił Juliance, aby zeszła z okna, bo on je zamknąć musi. Zamykał okno przed drażniącymi mu pierś powiewami, a dziecko odchodziło w inną stronę podwórza, tam najczęściej, gdzie wśród ciemnej, niskiej ściany, jaśniały dwa okienka czyste, przejrzyste, ozdobione trochę zieleni, rosnącej w glinianych wazonach. Za oknami temi była izba obszerna, biała, widna, a w niej huczał warsztat tokarski i wesoło trzaskało rozpalone ognisko.

Przy warsztacie z okręcającym się szybko kołem, stał mężczyzna silny i siwiejący, czerstwy na twarzy i przy białym fartuchu. Przy oknie siadywało, szyjąc, dziewczę młodziutkie, z rumianami policzkami i złotą kosą spuszczoną na pstrą chustkę, skrzyżowaną u piersi. Nad warsztatem wisiały ramki i ramy, puste, rozmaitych kształtów i rozmiarów, po kątach stały nogi do sprzętów różnych i laski do parasoli. Obok izby była mała kuchenka, przez której otwarte drzwi widać i słyszać było palący się ogień. Różowy blask ognia padał na przeciwległą ścianę izby, gdzie nad łóżem szerokim połykiwały, złożonym papierem oklejane, ramki świętych obrazków.

Ojciec toczył, od chwili do chwili ocierając sobie pot z czoła i twarzy; córka szyła, a z kuchenki dochodziły odgłosy rozmów, prowadzonych przez gruby głos kobiety i cienkie głosiki dzieci.

Gdy Julianka wdrapowała się na ławkę, u ściany stojącą, i siadała przed oknem mieszkania tego, dziewczyna ze złotą kosą podnosiła głowę i wołała:

— Tatus! Tatus! sierotka przyszła!

Mieszkanie tokarza było jedynym miejscem, w którym nie nazywano jęj podrzutkiem. Odpowiedź barczystego, szpakowatego tatusia, przygłuszoną była turkotem tokarni, ale z kuchenki wychodziła kobieta o tłustej, rumianej twarzy, z dzieckiem jednym na ręku, a drugim, czepiającym się grubiej jęj spódnicy.

— Boże, zlituj się! — mówiła — a toż biedactwo to tuła się wciąż, jak ten, nie przymierzając, pies bezpański. Kachna, skocz po miseczkę mleka!

Kachna zeskakiwała ze stołka i przynosiła Juliance miseczkę kwasnego mleka, w zimie zaś podawała jęj przez otwarty lufcik okna kawałek chleba i séra. Julianka zjadała, ale potem nie odchodziła zaraz, i bądź-to w lecie, przez liście stojących na oknie wazonów, bądź w zimie, przez czystą, sporą szybę, patrzyła długo w głąb mieszkania. Opierała czasem łokieć na wystającej desce ściany, a twarz na dłoni, i z przechyloną nieco głową patrzyła.

Nie było tam jednak widoków, mogących zaciekawić ją, lub zachwycić. Kręcącemu się kołu tokarni i obrazkom na ścianach przypatrzyła się już dawno, i nie na nie wyłącznie patrzyła; być może chyba, że spokój, czystość i skromny dostatek, panujące w mieszkaniu tokarza, dawały odpocznienie dziecięcym oczom jęj, przyzwyczajonym do widoków nędzy, klótni i smutku i że, nie zdając sobie sprawy z tego, co czuła, pragnęła ona jak najwięcej przedłużyć chwilę tego spoczynku. Jednak i inne myśli różne snuć się musiały wtedy w małej tęg głowie, bo raz ozwała się głośno:

— Ja-bym chciała, żeby mnie ten ptak wielki rzucił do pana tokarza i do pani tokarzowej, zamiast pod bramę.

Stojąca w pobliżu okna pani tokarzowa zaśmiała się głośno i grubo:

— A bój się Boga, dziewczyno! już nam i bez ciebie ptak ten tyle dzieciaków naprzynosił, że niewiadomo, co z nimi i robić.

Mówiąc to, uczyniła ruch taki, jak-by trzymane w ramionach dziecię, wyrzucić chciała za okno, a potem przycisnęła je do piersi i głośno wycalowała.

Julianka tymczasem wstrząsała głową.

— To nie ptak rzucił mnie tam pod bramę... — rzekła — ja tylko tak sobie powiedziałam, ale wiem, że to nie ptak.

— A któż taki? któż-by to taki zrobił? — zagadnęła kobieta z żartem, lecz i zmieszaniem pewnym.

— Matka! — krótko i obojętnie rzekła Julianka.

Wiedziała już, że miała matkę, tak jak wszystkie inne dzieci, i że, ona to, a nie ptak żaden, rzuciła ją pod bramę. Powiedziała jęj o tém gruba i wiecznie śmiejąca się sługa właścicielki magła, a gdy Julianka, usłyszawszy to, zapytała, czy i ojca miała także, tak, jak wszystkie inne dzieci, dziewczka odpowiedziała jęj, chichocząc:

— No, a jakże!

— A gdzie mój ojciec? — zapytało dziecko.

Dziewka od śmiechu wzięła się za boki.

— Goń wiatr w polu! — zawołała i pobiegła magłować; ale Julianka zapamiętała jęj odpowiedź, i ciągnąc rozmowę swą z żoną tokarza, zauważyła:

— I ojca ja miałam.

— A gdzie twój ojciec? — zaszczebiotało kilkoletnie dziecię tokarza.

— Goń wiatr w polu! — z powagą wygłaszanęj sentencji, odparła dziewczynka.

Od chwili, w której po raz pierwszy usłyszała słowa te, w wyobraźni jęj powstał obraz szczególny. O polu nie miała pojęcia żadnego, ale wyobrażała sobie człowieka jakiegoś, latającego w powietrzu po wielkiem podwórzu. W dniach szczególnięj silnych i zimnych wichrów, obraz ten tak stawał przed jęj oczyma, że wpatrywała się przez godziny całe w szumiącą przestrzeń i myślała, że tuż, tuż, latający człowiek stanie przy nięj i weźmie ją w ramiona tak, jak to czynił często z dziećmi tokarz, a nawet, w wyjątkowych chwilach trzeźwości i czułości, pijak kucharz.

Tokarz, naprawiając coś u warsztatu swego, usłyszał to, co Julianka mówiła o matce i ojcu, i żywo zwrócił się ku izbie.

— A Chryste Panie! — zawołał — kobiety! wesprzyjcie czém to dziecko! dajcie jój odzież jaką... wszak to w łachmanach całe, nakarmcie i przytulcie, choć-by przez godzinę jaką! a sądu Bożego nie bał się łotrzyśko jakiś...

Resztę mowy jego zagłuszył turkot koła, które obracać się poczęło niezmiernie szybko, stukając, skacząc i warcząc, jakby w gniewie i oburzeniu nadzwyczajnym.

— Chodź do nas! — rzekła towarzyszka.

Julianka nie dała sobie tego dwa razy powtarzać. Wbiegła do białej, cichej, ciepłej izby i pół dnia przepędziła w rozkoszach nieopisanych. Noc przespała z Kachną, na ziemi wprawdzie, lecz mając siennik pod bokami i poduszkę pod głową; wszyscy tam byli dla niej dobrzy, dali jój spódniczkę całą i mleka na śniadanie, ale, gdy odchodziła, nikt nie powiedział jój: — zostań! Nie dziw! tokarostwu wielki ptak ponanosił dzieci obfitość. Oprócz trojga, będących w domu, dwóch chłopców terminowało w rzemiośle... szóste urodzić się miało... a tokarz, choć najpracowitszym był i najporządniejszym z pomiędzy mieszkańców podwórza, fakt już sam, że zamieszkał rudereę tę, świadczył o tém, iż nie był bogatym...

W ten sposób, chodząc od okna do okna, i od jednego do drugiego z ubogich mieszkańców — żyła. Najgorsza sprawa bywała dla niej, gdy nadchodziły zimowe noce z silnymi mrozami. Wtedy kostniała od chłodu w wielkiej sieni starego gmachu, i tak trzęsła się cała, że aż jój zęby szczykały i we wnętrznościach bóląc coś zaczynało okropnie. To też szła wtedy zawsze szukać sobie schronienia lepszego. Czasem wsuwała się do wielkiej sali na górze, zanim ją jeszcze zamknięto, i noc przepędzała pod magłem; to znowu stukała lekko do okna chorego muzyka, a on, kaszląc i uśmiechając się, otwierał drzwi, wskazując jój kątek przy źle ogrzonym piecu, i dawał kilka pastylek. Niekiedy wkradała się też do ciemnej sionki, za którą było mieszkanie żydówki Złotki i jój rodziny, albo też, z wieczora jeszcze uczuwszy, że mróz się wzmacnia, Kachna od tokarza wybiegała na dziedziniec i wołała:

— Julianko! Julianko! a pójdz-no do nas na noc! Tatuś i matula żałują cię, abys nie zmarła!

Raz przecież, w jeden z mroźnych strasznie wieczorów takich, Julianka znalazła się w kłopotie srogim.

Magiel zamknięto tak wczesnie, że nie spostrzegła tego; do okna muzyka stukała, ale nie usłyszał snadź, spał może, albo sił nie miał wstać z łóżka, aby je otworzyć; okna tokarza były zbyt wysokie, aby do nich zastukać mogła, a ławeczkę, po której dostawała się do nich, odjęto z powodu obfitych śniegów. Chodziła od domowstwa do domowstwa, brnąc w śniegu, kurcząc się, trzęsąc i aż jęcząc z zimna. Przyszła nakoniec pod drzwi oficynki, w której mieszkała praczka, i zapominając już nawet i o Jakóbie, i o Antku, zastukała. Zastukała, jak można było najsilniej, zatrzęsała potem klamką.

— Kto tam? — zapytała z wewnątrz praczka.

Dziecko odpowiedziało:

— Julianka!

— Panie litościwy! a toż dzieciak ten na dworze, a mróz taki siarczysty! Ani chybi, trup z niej jutro będzie. Anka, otwórz-no!

Odsunęła się zasuwka z wewnątrz i otworzyły się drzwi ciemnej izby. Z kąta ozwał się zaspany i burkliwy głos Antka:

— Puszczajcie, matulu, podrzutka do chaty! puszczajcie! a jak ten przyjdzie, to co będzie? a?

Praczka nic nie odpowiedziała, ale Anka zakrzyczała z gniewem:

— Już ty, Antek, milcz tylko! a oczy stul i śpij! jeżeli ojciec nadejdzie, to ja ją przed nim schowam!...

— Ciekawym gdzie? Za miotłę nie wlezie już! wielka zrobiła się!

Anka, nie odpowiadając nic, wzięła dziecko za rękę i przyprowadziła je do siennika swego:

— No, połóż się, a ja przy tobie!

Przez chwilę cicho było w izbie, potem wśród ciemności ozwał się głos Anki:

— Matulu!



— No, a czego tam jeszcze?

— Ja wszystką bieliznę brudną zbiorę i przy sienniku swoim położę, a jak ojciec przyjdzie, to ją na Juliankę zrzucę, żeby nie zobaczył.

Praczką mruknęła coś niewyraźnie; Anka chodziła po izbie, zbierając i znosząc ku posłaniu swemu bieliznę, aby mieć ją w pogotowiu, w chwili, gdy niebezpieczeństwo nadejdzie; potem usnęli wszyscy.

Jakób nie nadszedł tej nocy. Z rana dwie dziewczynki, które obok siebie noc przespały, obudziły się jednocześnie i usiadły na sienniku. Anka o głowę wyższą była od Julianki; płowe włosy jej, rozpuszczone, jak zwykle, opadały na ramiona sieroty, i mieszały się z kruczemi jej kędziarami. Błede były obie i w grubych koszulach. Przy białym świetle dnia śnieżystego, spojrzały na siebie i pocałowały się.

W godzinę potem, Julianka wychodziła z mieszkania praczki, z dwoma pieczonemi kartoflami w rękach, ale przebiegający obok niej Antek wyrwał jej z rąk kartofle i rzucił daleko, w śnieg. Dziewczynka pięści ścisnęła i, wstrząsając nimi w kierunku chłopca, który był już daleko, szeptała coś gwałtownie. Potem poszła szukać swoich kartofli<sup>1</sup>.

Zdarzały się dni, w których ludzie więcej zajęci byli, niż zwykle, lub troskami napaśtowanymi, chorzy, lub w złych humorach; wtedy Julianka nie mogła zwrócić na siebie ich uwagi, albo, umiając już z twarzy odgadywać usposobienia ludzkie, lękała się nasuwać im na oczy. W dniach takich szła do żydówki Złotki i, milcząc, siadała na progu sklepiku. Złotka była dla niej zawsze jednostajna, niezbyt czuła, litościwa jednak. Dawała jej bułkę, lub obwarzanek, a jeśli zimno było, wołała ją do sklepiku i uczyła, jak ma rozgrzewać zziębłe nogi nad garnkiem, pełnym żarzących się węgla, nad którym ona sama rozgrzewała stopy swe w sinych pończochach.

Raz nad wieczorem, siedząc tak w kątku sklepiku, Julianka zobaczyła wchodzącego Antka z dwoma rówieśnikami. Chłopcy mieli po lat dwanaście i trzynaście; wieczoru tego byli szczególnie wesośli i głowy podnosili wysoko. Jeden z nich zwłaszcza, obdarty i prawie bosy, rozprawiał głośno, pięściami trącał innych i wyglądał w gromadce na przywódcę i tryumfatora. On też, zbliżył się do stołu, zastawionego butelkami i nędznymi przekąskami, i zawołał z butą:

— Cipa! wódki! po pół kruczka na każdego!

Złotki nie było w sklepiku, tylko co wyszła. Za stołem siedząca wnuczka jej, czternastoletnia dziewczynka z głupowatą twarzą, podniosła się i postawiła przed chłopcami trzy czarki, napełnione trunkiem. Wypili, krwisty szkarłat buchnął im z razu do twarzy, Antek zakaszłał się i spluwać począł.

— Jeszcze po pół kruczka! — zawołał przywódzca, rzucając na stół srebrną dwuzłotówkę.

— Ja nie chcę — oparł się Antek — matka zgryzie się...

— Pij! — zawołali dwaj inni.

Wypili znowu, zachodząc się od śmiechu. Wypiwszy, krzywili się strasznie i spluwali, ale był to widać nowy rodzaj swawoli, który bawił ich i w dumę przytępiał.

— Cipa! jeszcze po pół!...

Wychodzili ze sklepiku, chwiejąc się i niezrozumiale już bełkocąc. W tej samej chwili wróciła stara Złotka, a spojrzawszy na wychodzących chłopców, krzyknęła na wnuczkę:

— A po co ty dzieciom wódkę dawała! czy ty nie widzisz, że ja dzieciom nigdy nie daję i łaję ich, kiedy proszą! Głupia dziewczyna! na ciebie z niczym się spuścić nie można!

— Aj! aj! — odmruknęła Cipa — a co to z tego za korzyść? kiedy my im nie damy, to oni pójdą do tego szynku, co na rogu ulicy, i dostaną sobie! Niech my lepiej zarobim!

Niebawem Julianka wyszła ze sklepiku. Wchodząc na dziedziniec, zobaczyła kogoś, leżącego na ziemi pod bramą. Zbliżyła się i poznała Antka. Piérwszém wrażeniem jej była trwoga, jakićj zawsze wobec niego doświadczała. Cofnęła się nieco, stanęła jednak i patrzyła. Antek, upojony wódką, spał snem kamiennym, z rozchyloną u piersi koszulą, obłożonym spencerkiem, z nogami i głową grzęznącymi w mokrej ziemi.

— Ot i upił się! — szepnęła Julianka, i stanęła tuż nad chłopcem. Pojmowała, że w stanie tym niebezpiecznym dla niej nie był. Po chwili szepnęła:

— Ot teraz, tobym go mogła wytłuc!.. wytłuc!..

<sup>1</sup>kartofli. [przypis redakcyjny]

I zaśmiała się aż głośno na myśl o zemście. Ścisnęła obie pięście, i schylona nad śpiącym chłopcem, szeptała:

— Zobaczysz ty, jak tobie dobrze będzie, kiedy ja ciebie będę tłuc, tak, jak ty mnie zawsze tłuczysz! gonisz ty mnie zawsze, jak psa jakiegoś, i od podrzutków wyzywasz... przez ciebie ja wiele naciерpiałam się... siniaków ty mnie dużo narobiłeś... narobięz ja ci ich teraz... będę ciebie szczypać i drapać, i tłuc...

Rumieniła się szepcząc tak, oczy jęj błyszczwały w zmroku i usta drżały. Ścisnęła wciąż drobne pięście i już, już opuścić je miała na nieruchomo leżącego chłopca, gdy nagle zatrzymała się... Znać było, że myśl jakaś przysła jęj do głowy i że walczyła z sobą.

— Opuścić! — szepnęła — stara pani prosiła mnie: opuścić!

Milczała i myślała znowu.

— Kiedy powiedziałam staręj pani, odpuszczę! to trzeba opuścić!

A potęm znowu:

— Oj, tak-by dobrze było teraz jego wytłuc!

Pięstki jęj jednak rozchylały się z wolna. Westchnęła.

— No — rzekła — odpuszczę! może zobaczę jeszcze kiedy starą panią, to powiem jęj, opuściłam i nie wytłukłam Antka! uciesz się!

Schyliła nieco głowę, palec przytknęła do ust i długo myślała nad częms, myślała... potęm, z determinacją nagle powziętą, rzekła:

— Ot, jeszcze i pacierz za niego zmówię, żeby nawrócił się i matki nie gryzł...

Uklękała, i dziwnie-by widzięć było, jak na mokręj ziemi porzucone dziecko to klęczało w zmroku nad dzieckiem pijanęm, i ze splecionemi rękoma, półgłosem mówiło:

— Ojcie nasz, któryś jest w niebie, przyjdź królestwo twoje!...

W porze owęj, Julianka miała już lat siedm, ale małą była na wiek swój; powoli rosła. Rosły tylko szybko bardzo włosy jęj, kruczęj czarnośc, i wiły się w tysięczne pierścienie, ze wszech stron ocieniając malutką, chudą jęj twarz z blademi usty i ogromnemi oczyma, czarnemi, jak węgle. Miewała ona wtedy na sobie stare spodniczki, długie do ziemi prawie, nieosłaniające jednak stóp nagich i wiecznie pokaleczonych, i kaftaniki luźne, strasznie stare i spłowiałe, które, rozchylając się z przodu, ukazywały podartą koszulę. Wyglądała brudno i nędznie, ale ogromne włosy jęj i prześliczne oczy, patrzące na świat z wyrazem szczegóelnego w tym wieku zamyślenia, zwracały na nią często uwagę ludzi, którzy jęj nie znali. Nieraz, widząc ją siedzącą na progu sklepiku, przybywający tam zapytywali Złotkę:

— Czyje to dziecko?

Złotka flegmatycznie odpowiadała:

— Wszystkich!

— Jaktó wszystkich? — pytano.

— Nu, niczyje!

— Wszystkich i niczyje! jaktó być może? co to znaczy?

Na wklęślych wargach staręj żydówki osiadał szczegóelný uśmiec, przebiegły i trochę smutny. Trzęsła głowę i z powagą odpowiadała:

— Kiedy ono niczyje nie jest, to powinno być wszystkich, nu, ale kiedy ono jest wszystkich, to tak, jaktó było niczyje!

Pytający wzruszali ramionami, nie rozumiejąc zagadkowych słów żydówki, ale głupowata Cipa z pogardliwym gięstem tłumaczyła im:

— Podrzutek! znajda!

Julianka rozmów tych o nięj słuchała zawsze z wielką uwagą, a ludzie, pytający o nią, usłyszawszy tłómaczenie Cipy, wstrząsali głowami na znak, że teraz już zrozumieli wszystko, i odchodzili.

Raz jednak...

Było to w pogodny, lecz zimny, dzień jesienny. Do sklepiku weszła kobieta średniego wzrostu, szczupła i zgrabna, w sukienięm nie świeżęm okryciu i starym kapelusiku, przyozdobionym w kwiat błady i zgnieciony. Miała ona wielkie, błękitne oczy, drobne usta i postarzałe czoło, nad któręm młodo wiły się bardzo jasne włosy. Ujrzawszy ją wchodzącą, Złotka, zawołała uprzejmie:

— A! nowa lokatorka nasza! Daj Boże szczęśliwie! daj Boże szczęśliwie w nowęm mieszkaniu przeżyć!

— Dziękuję, moja kupcowo — odpowiedziała kobieta, i wnet potem poprosiła o parę funtów cukru, trochę herbaty i niewielką ilość nafty, do zapalania lampy.

Żydówka, ważąc i mierząc żądane przedmioty, według zwyczaju swego, rozpoczęła z przybyłą gawędkę.

— Panna na długo do nas? — zapytała.

— Dopóki Bóg pozwoli, chciała-bym tu mieszkać jak najdłużej...

— A dostała już panna lekcye?

— Dostałam parę. Jednak, moja kupcowo... gdy-byś się wypadkiem dowiedziała o kim, ktoby potrzebował...

— Wiem, wiem... na co mnie panna dwa razy powtarza... już ja nie zapomnę... A meble te, co ja do najęcia nastęrczyłam, czy podobały się pannie?

— Dobrze, bardzo dobre, mnie lepszych nie potrzeba...

— Nu, ale co ja pannie powiem! Meble najmować, to zły interes... dobrze-by było zapłacić za nie odrazu i kupić.

— Zapewne, moja kupcowo, ja to dobrze rozumiem, ale z kąd-że wezmę... później kiedy może będę mogła...

— Daj Boże! ja pannie dobrze życzę, tylko nie spodziewam się, żeby tak zaraz dużo lekcji było... U nas w mieście, strach co guwernantek jest...

Szczupła kobieta ze zwiędłym czołem i jasnymi włosy, głos miała cichy i mile wpadający w ucho. Rozmawiając z żydówką, oglądała się wciąż i przelotne spójrzenia rzucała na siedzącą u progu Juliankę. Przytęm oczy jej mglić się zaczęły szczególnym zmieszaniem.

— Czyje to dziecko? — zapytała ciszej jeszcze, niż zwykle.

Złotka powtórzyła zwykłą swą odpowiedź:

— Wszystkich.

— Wszystkich?

— Nu, niczyje.

Cipa, lejąca naftę w małe blaszane naczynie, wmieszała się do rozmowy:

— To podrzutek jest! znajda!

— Podrzutek! — zawołała, krzyknęła prawie, kobieta, i rumieniec oblał bladą twarz jej, aż po lniane włosy. Powściągnęła się jednak i dość obojętnie zapytała:

— Dawnoż znaleziono dziecię to? nie pamięta kupcowo?

— Czemu ja mam nie pamiętać?... Jego znaleźli akuratnie w tym samym roku i miesiącu, kiedy ja wnuczkę moję za mąż wydałam... nu, a ona już siedm lat za mężem jest... to dziecko siedm lat temu znaleźli... jesienną porą... z samego ranka...

Kobieta brała z rąk Cipy naczynie z naftą. Ręka jej trochę drżała.

— Któż to taki je znalazł? — zapytała.

— Ot, żebraczka jedna. Ona już nie żyje... tu na tym dziedzińcu mieszkała i tu umarła...

— A jak dziecku temu na imię?

— Julianka.

— Czemuż dali mu imię to, a nie inne?

— Nu, ta żebraczka, co ją znalazła i na dziedziniec przyniosła, nazywała się Julianna. Ona ją do kościoła nosiła, żeby ją ochrzcili, i prosiła, żeby jej takie samo imię dać...

Kobieta trzymała już w rękach wszystko, czego żądała: herbatę, cukier i naftę. Nie odchodziła jednak, lecz dość obojętnie zapytała jeszcze:

— A któż nią opiekuje się?

— A kto-by tu nią opiekował się? tu wszyscy ludzie niebogaci i swoje dzieci mają... Ot tak żyje sobie...

Kobieta patrzyła nieruchomo na różnobarwne paczki cygar i papierosów, ułożone pod przeciwległą ścianą, potem ukloniła się Złotce i odeszła. Przystępując próg, nie spójrzała na Juliankę, która też zwróciła na nią żadnej uwagi, bo i przywykła do słyszenia podobnych o sobie rozmów, i zajęta była bardzo okrywaniem dziurawą spodniczką stóp swych, zsiniałych od chłodu.

W godzinę potem, Julianka, wchodząc na dziedziniec, zobaczyła gromadkę dzieci, stojącą naprzeciw starego gmachu i przypatrującą się czemuś z podniesionymi głowami i pootwieranymi usty. Stała z daleka za dziećmi, podniosła też głowę i patrzeć zaczęła.

Wkrótce też i jej usta otworzyły się, a oczy aż zaśmiały się od zachwycenia wielkiego. Zobaczyła, że na wysokim piętrze gmachu, wyżej jeszcze od miejsca, w którym znajdował się magiel, w pusty wprzód otwór wprawiono okno. Okno to, o drewnianych, niepobielonych i niepomalowanych ramach, otwarte było teraz, a w nim powiewała biała roleta, w zęby wycięta, i wisiała klatka z kanarkiem. Roleta ta, a więcej daleko żółty ptaszek, którego śpiew aż na dziedzińcu dolatywał, obudzały zajęcie małej gromadki.

Julianka patrzyła tak długo, że inne dzieci rozbiegły się, a ona stała jeszcze. Wtedy w oknie otwartym ukazała się ta sama kobieta, która przed godziną była w sklepiku. Wychyliła się nieco i ręką uczyniła ku Juliance gest przyzywający. Dziecko nie zrozumiało z razu, że gest ten zwrócony jest ku niemu, ale kobieta skinęła ręką energiczniej, z pewną nawet nierpliwością, przytęm widać było, że patrzyła na nie wytężonym wzrokiem. Julianka zerwała się z miejsca i pobiegła z uciechą wielką, bo zostać przywołaną przez kogoś, było to w życiu jej rzadkiem i wielce szczęśliwym wydarzeniem.

Stary gmach znała najdokładniej, idąc więc po próchniejących schodach, minęła salę z maglem i dosięgła piętra domu, całkiem niezamieszkałego, gdzie, przeszedłszy kilka pustych pokoi, bez okien ni drzwi, stanęła przed nadpróchniałymi i nieszczelnie zamykającymi się drzwiami, które też nieśmiało i z wolna otworzyła.

Przy samych drzwiach stała szczupła, blada kobieta, bez okrycia już i kapelusza, w wązkiej, czarnej sukience, i z grubą, lnianą kosą dokoła małej głowy. Nie była też bladą w tej chwili, bo ognisty rumieniec twarzy jej okrywał. Za ledwie dziecko stanęło w progu, pochyliła się, porwała je w ramiona i uniosła w głąb' pokoju. Nie wydawała się dość silną, aby móżdżki dźwigać w ten sposób siedmioletnie, choć drobne, dziecko, owszem, wyglądała na słabą, bardzo nawet słabą istotę, ale w tej chwili przybyło snadź ramionom jej siły i sprężystości. Niosąc dziecko, biegła, usiadła wraz z niem na stariej, obdartej kanapce, i wnet potem Julianka uczuła na twarzy swej palące ciepło pocałunków i wilgoć łez, spływających na nią strumieniem. Lniany warkocz kobiety osunął się z jej głowy, a włosy jej tak opłynęły twarz dziecka, że nic widzieć ono nie mogło, prócz oczu całujących ją kobiety, wielkich i błękitnych, w łzach tonących a rozpalonych.

Julianka nie rozumiała nic. Zdumiona, ogłuszona, duszona w namiętnych uściskach, nie była jednak rozrzewnioną. Pierwszy to raz w jej życiu całowano ją i płakano nad nią. To też, gdy po długiej chwili kobieta przestała całować i płakać, a odsunawszy ją nieco od siebie, poczęła jej przypatrywać się; na twarzy dziewczynki nie było innego wyrazu, prócz głębokiego zdziwienia.

— Pocałuj-że mię! — szepnęły drobne, blade, drżące usta kobiety. Julianka pocałowała ją w rękę.

— Jakaś ty chuda, — szepnęła kobieta, dotykając nóg jej, rąk i piersi, — jakaś ty chuda i mała na wiek swój!... Czy cię co boli kiedy?

— Boli, — odpowiedziało dziecko.

— Co cię boli?

Julianka pokazała zziębłe stopy swe, a potem odwinęła luźny rękaw kaftana i pokazała ramię, okryte znakami oparzenia, szczypania i stłuczenia.

— Jak byłam mała, — mówiła, — spadła na mnie duszka od żelazka, ot tu... potem Antek szczypał mię bardzo, ot tu... i tam w sieni, jak spałam, cegła upadła ot tu... wczoraj... nie, — poprawiła się, — nie wczoraj, ale jutro...

Nie mogła dotąd rozróżnić wyrazów: wczoraj i jutro. Słuchając ją, kobieta dotknęła dłonią czoła swego, potem piersi, potem znowu czoła.

— Jadłaś dziś? — zapytała.

— Jadłam.

— Cóżes jadła?

— Obwarzanek od Złotki.

— A chcesz jeszcze jeść?

— Chcę, — z nagle zrodzoną energią zawołała Julianka.

W skutek wprawy, uczucie głodu stanowiło w całej istocie jej fizycznej i moralnej stronę najsilniej rozwiniętą.

Kobieta wyjęła z niskiej szafki żywność jakąś, podała ją dziecku, i usiadłszy przy niem, zaczęła wpatrywać się w nie znowu, Julianka jadła, spoglądała na sprzęty skromne, lecz czyste, na kanarka, który śpiewał wciąż w klatce, na białą roletę, fruującą z wiatrem,

i roszczebiotała się na dobre. Zagadnięta parę razy o przeszłość swą, opowiadała, jak, małą będąc, (teraz już uważała się snadź za osobę dużą) mieszkała u praczki, i jak ją pan Jakób, kucharz, w nocy za drzwi wyrzucił, i co potem stało się; o starłej pani, bardzo dobrej, która niewiadomo gdzie podziała się, gdy jej oczy uciekły; o chorym panu, ciągle grającym; tokarzu, tokarzowej, Ance i Antku, najbardziej o Antku, takim niegodziwym chłopcu. Przy wspomnieniu o chłopcu, zacisnęła piąstki i błysnęła oczyma, wnet jednak z zamyśleniem dodała:

— Ale ja jemu odpuściłam... tak mi Boże dopomóż, odpuściłam i nie wytukłam go, kiedy leżał tam pijany pod bramą... Stara pani prosiła: odpuść! i odpuściłam...

Przy ostatnich wyrazach dziewczynki, kobieta wzięła ją w ramiona swe i, topiąc usta w gęstwinie jej włosów, szepnęła...

— Żebyś ty kiedyś innym tak odpuścić mogła... o! żebyś mogła!...

Wstała potem i przeszła się parę razy po małym pokoju. Gdy usiadła znowu, wydawała się zupełnie spokojną. Widać było, że długa i ciężka wprawa nauczyła ją powściągać, ukrywać wrażenia doznawane, i że w téj chwili uczuła potrzebę powściągnięcia ich i ukrycia. Przyciągnęła ku sobie dziecko i, postawiwszy je przed sobą, poważnie zaczęła:

— Moja Julianko! ja dopóki, tylko ztąd się nie wyniosę, opiekować się tobą będę... cóż? czy rada jesteś z tego?

Dziecko, milcząc, obojętnie pocałowało ją znowu w rękę. Była to oznaka wdzięczności pewnej, ale radości ani czułości nie znać w niej było. Nie dowierzała i dziwiła się.

Kobieta mówiła dalej:

— Trzeba jednak, trzeba koniecznie, ażebyć nigdy nikomu nie mówiła ani słowa o tém, o czém rozmawiać z sobą będziemy, i jaką ja będę dla ciebie... rozumiesz, Julianko?

Dziewczynka twierdząco skinęła głową.

— Nie mów téż nikomu o tém, że ja cię całowałam i pieściłam, pamiętaj nie mów! i jeżeli czasem ja wymówię coś takiego... coś takiego... no! cokolwiek-bym kiedy przy tobie mówiła do ciebie, albo do siebie samój, albo przez sen... ty nikomu tego nie powtarzaj... rozumiesz mię, moje dziecko? nikomu ani słowa! Nie mów téż przed nikim, że ja cię czasem mojem dzieckiem nazywam....

Tu umilkła na chwilę. Można-by myśleć, że głosu jej zabrakło. Spokojną jednak wydawała się wciąż, i nawet trochę surową.

— Pamiętaj, ażebyś mię słuchała, bo jeśli nie posłuchasz, zgubisz... zrobisz mi wiele złego, a i sobie także. Cóż? będziesz mię słuchała?

— Będę, pani, — odparło dziecię, które słuchało ją ze zdziwieniem, lecz i z uwagą.

— Słuchaj mię! ja ci za to sukienkę nową i ciepłą uszyję, trzewiczki kupię, obiad co dzień dam i pięknych różnych rzeczy uczyć cię będę... A pacierz ty umiesz?

— Umieć. Stara pani nauczyła...

— Panie! odpłać jej! Panie! opiekuj się nią! Panie! daj jej rok szczęśliwy za każdy wyraz pacierza... — spieszenie i drżącemi wargami zaszeptała kobieta.

— A robotę ty jaką umiesz robić?

— Umiałam pończochę robić, stara pani nauczyła; ale teraz nie wiem, czy już potrafię...

— Nauczę cię różnych innych robót...; no, a teraz powiem ci, jak mię masz nazywać... Mam imię Janina, nazywaj mię panną Janiną!

— Panna Janina! — powtórzyło dziecko.

— Dobrze! Pamiętaj-że o tém, co ci mówiłam. A teraz ja idę do miasta... guwernantką jestem... uczyć muszę dzieci... idę więc dzieci uczyć... codzień tak chodźć będę, a ty zostań tu i nie chodź już na to brzydkie podwórze, do tych różnych ludzi... nie żebraj, nie potrzebujesz... sytą już będziesz i odzianą. Siedz tu. Możesz bezpiecznie siedzieć, bo obcy nikt tu nie przyjdzie... i złodziej nie przyjdzie... pocóż-by? przypatruj się ptaszкови, nazywa się on kanarek. Darowała mi go ostatnia uczenica moja, bom się do niego bardzo przywiązała... cóż robić? trzeba się choć do ptaka przywiązać! Zresztą, połóż się sobie i zaśnij, a przed wieczorem ja wrócę...

Ostatnie wyrazy mówiąc, wkładała stare swe, sukienne okrycie i kapelusik z kwiatem, tak bladym i zmiętym, jak była twarz jej. W téj chwili zresztą, po długiej rozmowie z dzieckiem, twarz ta, delikatna i drobna, wyglądała bardziej jeszcze postarzałą i zmęczoną, niż wprzód.



Wyszła. Julianka, zostawszy sama, zaczęła od przypatrywania się ptaszкови, i nietylko przypatrywała się mu, ale i słuchała jego śpiewu. Potem, podnosząc wciąż głowę, aby kanarkowi się przyglądać, zaczęła wyśpiewywać sama, i duet ten, złożony ze śpiewu ptaka i dziecka, trwał póty, aż dziecko zmęczyło się, i poważnie, a nieśmiało trochę chodząc zaczęło dokoła pokoju, oglądając wszystkie kąty jego i sprzęty.

Te ostatnie nie miały w sobie nic nadzwyczajnego; Julianka jednak znalazła pomiędzy niemi takie, które napełniały ją zdziwieniem. Nędzną, kanapkę oglądała długo i ze stron wszystkich, dotknęła z kolei kilku książek, leżących na stole, a spróbowałszy pociągnąć ku sobie znajdującą się w nim szufladę, wyciągała ją i zasuwała długo, a znać było z rozweselonéj jéj twarzy, że bawiło ją to niezmiernie.

Nakoniec usiadła na ziemi naprzeciw małego samowarka i, przypatrując się błyszczącemu przedmiotowi temu, usnęła.

Spała aż do chwili, w której otworzyły się drzwi i weszła przez nie panna Janina. Wbiegła raczej, niż weszła. Dziwne uradowanie jakieś oświecało twarz jéj. Od progu już wyciągnęła ramiona ku dziecku, które obudziło się, lecz nie wstało z ziemi.

— Cóż? nie przyjdiesz pocałować mię? nie jesteś rada, że wróciłam? — zawołała.

Dziecko przybliżyło się z wolna i nieśmiało trochę pocałowało ją w rękę. Wyraz uradowania znikł z twarzy kobiety.

— Jaka obojętna! — szepnęła.

Zapaliwszy lampkę, rzekła:

— Chodź, nauczę cię samowar nastawiać!

A do siebie szepnęła:

— Sama podobno nie bardzo umiem to robić...

Przy końcu wieczora panna Janina, zsuwając z kolan dziecko, z którym rozmawiała przez wieczór cały, rzekła:

— Nocować u mnie nie możesz, bo ludzie powiedzieli-by, że ja cię zupełnie do siebie wzięłam, i mogli-by wpaść na domysł... mogli-by mi co złego zrobić. Dnie przepędzać będziesz u mnie, spać ci trzeba gdzieindziej... a nawet powiesz ludziom, że ja cię na noc nie przyjmuje dla tego... dla tego, że u mnie ciasno, i że... każę tobie co wieczór iść sobie gdzieindziej!... pamiętaj, powiedz im to... Ale gdzie sypiać będziesz?

Myślała długo nad pytaniem tém i, wzięwszy lampkę, poszła oglądać puste piętro gmachu. Znalazła tam kątek jakiś, osłoniiony wystającym murem od wiatru, wnikającego przez pusty otwór okna.

— Tu ci urządzę pościółkę! — rzekła.

Sporządziła na prędcie sienniczek mały, położyła na nim jedną ze swych dwóch szczupłych poduszek, a zamiast kołdry, rozesłała na pościółce ciepły, choć dobrze zniszczony, szal.

— W mrozy wezmę cię do siebie, a w cieplejsze noce śpij tu... tylko, — dodała po chwili, — nie mów nikomu, że ci pościel urządziłam... pamiętaj, nie mów!

Nie prędko, bo w miesiąc lub więcej potem, gdy panna Janina wracała z lekcyi i do pokoju swego wchodziła, Julianka rzuciła się ku niej, ramionami kolana objęła i, przypadłszy do saméj ziemi, całowała namiętnie jéj stopy. Nieprzyzwyczajoną była do objawów czułości; czułość téż była struną istoty jéj, która budziła się w niej z wolna bardzo, ale gdy raz drgnęła, widać było, że dziecicé to mogło w płomień rozpalać się i topić się w łzach u stóp lub u łona tych, których kochało.

Pobyty u panny Janiny był w życiu dziecka tego pierwszym błyskiem szczęścia. Szczęście téż biło z twarzy jéj, na której rumieńce ukazywać się zaczęły, i z ruchów, które stawały się coraz śmielszemi.

Długo nie ukazywała się wcale na dziedzińcu, ani w żadném mieszkaniu z dawniejszemi sobie znanych. Nic jéj tam snadź nie ciągnęło, a pokój panny Janiny i obszerne niezamieszkałe piętro gmachu przedstawiały do zabawy jéj dość przedmiotów i przestrzeni.

Raz nakoniec, w początku zimy, zjawiała się na dole w progu sieni. Miała na sobie tanią, lecz ciepłą, sukienkę, pończochy i grube trzewiki, a włosy jéj, porządnie uczesane, przewiązane były nawet barwistą wstążką. Ujrawszy ją, dzieci, biegające po podwórzu, zbiegły się wszystkie do niej i strój jéj oglądać zaczęły. Anka dotykała palcami i pożerała oczyma wstążkę jéj; bosa dziewczyna od krawca przyglądała się obuwiu. Antek tylko nic sobie z całej jéj elegancyi nie robił. Żartować z niej zaczął:

— Patrzcie! patrzcie! jaka panienska zrobiła się! a kto ci dał to wszystko? może matula twoja znalazła się, albo ojca wiatr z pola przyniósł! Ot, nic ci nie pomogą ładne suknie! podrzutkiem byłaś i podrzutkiem jesteś!

Julianka rumienić się zaczęła i błyskać oczyma.

Nie odpowiadała jednak Antkowi, bo zajęta była rozwiązywaniem wstążki, którą miała na głowie. Rozwiązawszy ją, zdjęła z głowy i, milcząc, oddała Ance. Anka podskoczyła z radości i wnet ubierać się w nią zaczęła, a Antek, wykrzywiając się, żartować znowu począł:

— Ot, jaka mi księżniczka! prezenta teraz rozdaje! a pamiętasz, jak niedawno za miotłą u nas siedziałas i kartofle pod ławą jadłaś...

W miarę jak chłopak mówił, Julianka piąstki swe ścisnęła. Zdawało się, że tuż, tuż rzuci się ku niemu. Nie uczyniła jednak tego, pochyliła się tylko i, otworzywszy usta w całej ich szerokości, ukazała mu język. Tej zemsty odmówić już sobie nie mogła. Wykonała ją, ale wykonawszy, złękła się zarazem, i pędem puściła się na schody gmachu, ku pokojowi panny Janiny.

Antek i inne dzieci gonić ją chciały, ale śmiałości im zabrakło. Nie śmiały napastować mieszkania guwernantki, którą mieszkańcy dziedzińca instynktowo uważali za coś wyższego od siebie. Imponował im może kapelusz, który nosiła, kanarek, wiszący w oknie, a może i coś innego jeszcze.

— Dzieci czy, — mówili o niej, — edukacją mieć musi, i taka jakaś delikatna!

Co do edukacji tej, posiadanej przez szczupłą, bladą guwernantkę, żydówka, Złotka, miała o niej wiadomości pewne, z własnych jej ust zaczerpane. Raz panna Janina weszła do sklepiku i, kupując znowu małą ilość cukru i nafty, zapytała Złotkę:

— A cóż, moja kupcowo, nie masz tam dla mnie dobrej jakiejś nowiny?

Złotka przecząco wstrząsnęła głową.

— Pytałam się u różnych ludzi, — rzekła, — starałam się, ale nie potrzebują... strach, co teraz guwernantek u nas w mieście... więcej niż dzieci... A czy pannie mało tych lekcji, co panna ma?

— Bardzo mało, moja kupcowo. Życ niema z czego... tanio mi płacą.

— A dla czego oni tanio płacą? ja wiem, że guwernantki czasem bardzo drogo biorą za tę naukę, co ją w głowie swojej mają...

Panna Janina wpatrywała się znowu w różnobarwne paczki cygar, okrywające przeciwległą ścianę.

— W tém bieda, — zaczęła, — w tém bieda największa, kupcowo, że ja nauki téj mam bardzo mało.

Po chwili, nie zmieniając kierunku spojrzenia, dodała:

— Byłam zawsze guwernantką na początku... na początku nauk... płacono mi zawsze bardzo mało... bo i prawdę mówiąc, niema za co płacić wiele...

Złotka rozpostarła ręce ruchem zwątpienia.

— Nu, na to już niema żadnej rady, — rzekła.

Dnia tego, wracając z miasta, panna Janina nie uścisnęła, jak zwykle, Julianki, ale odtrąciła ją od siebie i, gwałtownym ruchem usiadłszy, w zamyśleniu szarpała drżącymi rękoma brzeg czarnego i zszarzałego swego kaftanika.

Dzieci, zdziwione i zmartwione, przysunęło się do niej, ale ona usunęła je znowu i szepnęła:

— Na moję niedolę urodziłaś się ty... i na swoją.

Cały wieczór potem kobieta siedziała nieruchoma i milcząca, jak kamień, a dziecko płakało z cicha. Nazajutrz z rana jednak, Julianka budząc się w kątku swym, za wystającym murem pustego pokoju, ujrzała nad pościółką swą stojącą pannę Janinę, która nachyliła się ku niej z uśmiechem i pocałowała ją w czoło.

— Chodź pokój zamykać! — rzekła.

Uczyła ją co rano zamykać pokój, nastawiać samowar, zapalać w piecu i słać łóżko; a gdy dziewczynka z trudnością wielką spełniała czynności te, o wiele przechodzące jej siły, patrzyła na nią z przepaścistym smutkiem w wejrzeniu i mówiła:

— Żebyś ty przynajmniej porządną służącą zostać mogła!

Wieczorami uczyła ją katechizmu, czytania i szycia, przyczém łagodną bywała niekiedy i niezmiernie, namiętnie czuła, czasem znowu niecierpliwa, twardą, rozjątrzoną. Patrząc

wtedy na nią, jak zrywała się co chwila z siedzenia i siadała znowu, rzucała się po pokoju swym, dotykając sprzętów wszystkich, całowała dziecko, odpychała je, za uchybienie każde w czytaniu lub szcziu uderzała je po rękach, a potem brała się za głowę i mówiła coś do siebie szybko a niezrozumiale; myśleć-by można, iż była blizką szaleństwa. Potem jednak opanowywała się, zaciągała drobne wargi, krzyżowała na piersiach ramiona i wyglądała, jak ktoś zamierzający kosztem jakichbądź cierpień dotrwać w postanowieniu swoim.

Na wiosnę, kiedy ludzie zaczęli otwierać drzwi i okna, panna Janina weszła raz do mieszkania tokarza. Zawahała się chwilę przed drzwiami, ale weszła. Na widok jój tokarz przerwał pracę swą i uprzejmie ją pozdrowił, żona jego zmieszała się i osłupiałym nieco wzrokiem patrzyła na guwernantkę, aż upamiętała się i zawołała na Kachnę, aby stołek podała. Panna Janina usiadła i wydawała się bardziej jeszcze zmieszana od tokarzowej.

— Chciałam poznać się z państwem; sąsiadką waszą jestem, — rzekła, czując jakby potrzebę usprawiedliwienia swój wizyty. Tokarzowa powiedziała, że widuje ją co dzień przez okno, idącą do miasta i wracającą.

— Dlaczego pani dziecka nigdy z sobą nie bierzesz? — zapytała, — niech-by biędactwo obejrzało się trochę po świecie.

Panna Janina zarumieniła się gwałtownie.

— Jakiego dziecka? — zawołała ze zdziwieniem niby.

— A no! sierotki téj, którą pani opiekujesz się.

— Ależ ja nią nie opiekuję się wcale, — tłumaczyła się kobieta, — co mi do niej! ot, tak tylko, gdy widzę, że głodna, to ją nakarmię... przez litość... nie więcej jak przez litość... a że dziecko siedzi ciągle przy mnie, to i nie odpędzam go... co mi to szkodzi? ale opiekunką jego nie jestem, wcale nie jestem.

Tokarz i żona jego patrzyli na nią ze zdziwieniem. Nie pojmowali, dlaczego tak żywo tłumaczyła się z tego, co w oczach ich było dobrym uczynkiem.

— To szkoda — rzekł po chwili tokarz — a my myśleliśmy, że nieboractwo to znalazło już sobie przytułek na całe dzieciństwo swoje... Jak wyrośnie, to prędkiej sobie da radę, ale póki małe, co ma robić? żebrać tylko, a może potem, nie daj Boże, i kraść...

Ledwo widzialne drgnienie poruszyło twarzą i rękoma panny Janiny.

— Zapewnie — rzekła — zapewnie... nie odpędzę dziecka, dopóki żywić je i uczyć czegokolwiek będę mogła... choć naprawdę, co mnie tam ono obchodzić może? Lituję się przecież nad niem... nie wiem, czy długo tu zostanę, a jeśli-bym odjechać miała, to może-by... może-byście państwo... tak... przy swoich dzieciach i tę dziewczynę przytulili!

Mieszała się strasznie, mówiąc to, a głos jój, pomimo silenia się na obojętność, przybierał proszące dźwięki.

Tokarz po chwili zamyślenia odrzekł:

— Przyznam się pani, że mnie to samemu nieraz na myśl przychodziło, i z żonką nawet o tém gadałem, ale... niebogaty jestem człowiek... sześcioro dzieci mam. Gdybym już tak zdecydował się i wziął tę sierotkę, nie chciał-bym, aby marnowała się ona w domu moim, ale musiał-bym jój i odzież porządną dać i jadło dostateczne, i potem roboty jakiej nauczyć... a to wszystko kosztowało-by wiele i było-by z krzywdą własnych dzieci... Ja zaś uważam, że niedobrze jest, jeśli człowiek dopomaga jednym z krzywdą drugich. Zresztą my ot i z téj kwatery wyniesiemy się w jesieni... a jak będziem mieszkać het precz! na drugim końcu miasta, to i oczy nie będą nas boleć od patrzenia na nędzę tę...

Panna Janina słuchała ze spuszczonemi oczyma, i wymówiwszy jeszcze kilka słów obojętnych, odeszła. Przez cały wieczór potem płakała.

W środku lata jakoś, wracała z miasta z wiązką ładnych kwiatów. Nie zaniósła ich jednak do swego mieszkania, tylko przesunęła się pod ścianą bocznego domowstwa i położyła je na otwartém oknie chorego metra muzyki. Muzyk, który przez całą zimę nie grywał na fortepianiku swoim, bo większą część czasu przepędzał w łóżku, grał teraz. Usłyszawszy szelest w oknie, nie przestając grać, ochrypłym głosem zapytał:

— Czy to ptaszyna?

Podniósł trochę głowę, a zobaczywszy za oknem stojącą kobietę, zdziwił się nieco. Znal ją jednak z widzenia, jak wszyscy mieszkańcy podwórza.

— Jakie ładne kwiaty! — rzekł, powstając z ciekawością — jaka pani dobra! ja lubię kwiaty!

— To sierotka przysłała panu kwiaty te — szepnęła kobieta.

— A jakie ona tam hoduje się? śliczne, biedne dziecko! chciał-bym je widzieć!

— Przysnę je kiedy do pana — odrzekła panna Janina.

Muzyk chciał coś powiedzieć jeszcze, ale zakaszła się strasznie i nie mógł. Panna Janina, wchodząc na schody starego gmachu, szeptała:

— I w tym nadziei mieć nie można! prędko umrze!

Pod jesień ludzie mówić zaczęli, że guwernantka musi być chyba chorą, bo tak powoli chodzi i tak mizernie wygląda. Chorą jednak nie była, tylko widocznie gryzła ją nawskróś ciężka troska jakaś, ciężka dlatego może najbardziej, że siły jej były bardzo słabe.

Raz weszła do sklepiku Złotki, już nie dla kupna żadnego, ale tylko na rozmowę.

— Moja kupcowo — rzekła — jaka to bięda, że lekcy więcej dostać nie mogę... już i szyciem sobie dopomagam, ale i tak ciężko bardzo.

— No! — pocieszała żydówka — co tam! byle przeżyć! potem może lepiej będzie.

— Ja bo i nie przywykłam do biedy takiej — mówiła dalej guwernantka — od czasu, gdy ojciec mój umarł... urzędnikiem był i biedy przy nim nie cierpiałam... przebywałam zawsze po domach różnych. Pensją brałam bardzo małą, taką tylko, aby mózdz jako tako przydziać się, ale wygody miałam wszelkie, bo przecież, gdzie guwernantka jest, to już i obiad codzienny, i szklanka herbaty, i ciepły pokój być musi. Otóż przywykłam do wszystkiego tego, rozpieściłam się i teraz wytrzymać nie mogę.

Złotka przenikliwie patrzyła na skarżącą się kobietę.

— No — rzekła po chwili — a ja pannie radzę, żebyś wytrzymała... mnie zdaje się, że są rzeczy, co gorzej bolą, niż głód i chłód...

— Są, o! są; — szepnęła kobieta,

Splotła małe, suche, ręce swe, i oparła je o stół z butelkami. Stała tak długo, potem rzekła:

— Na wiosnę chyba postaram się znowu o miejsce i pojedę.

— Ja pannie nie radzę robić tego — odparła żydówka.

— Dlaczego, moja kupcowo?

— Niech już panna siebie samą zapyta, dlaczego?

Wymówiła to ze znaczeniem. Panna Janina zarumieniła się nagle z gniewu jakby, czy z trwogi.

— Ciekawam — zawołała żywo — dlaczego-bym nie miała zrobić tak, jak mi lepiej będzie! Zimą tylko przebyć tu jeszcze muszę, koniecznie muszę, bo mrozów boję się bardzo.

— Jeżeli panna boisz się mrozów — podchwyciła żydówka — to dlaczego panna przed zimą nie wyniesie się z tego starego domu, który jest bardzo zimny, i nie poszuka sobie miejsca z ciepłym pokojem...

Kobieta zmieszała się.

— Niech już sobie! — zagadła — zimą przebędę... na wiosnę może mi Bóg pomoże... a jak lepiej mi będzie trochę, to i nadal tu zostanę... ja-bym bardzo pragnęła tu zostać...

Oprócz troski, widać w niej było ciąglą prawie trwogę jakąś. Rzadko bardzo spotykała spójrzaniem swym zwrócone na siebie spojrzenie; lecz, mówiąc z ludźmi, spuszczała najczęściej oczy, albo patrzyła na przeciwnie przedmioty, co dawało jej pozór istoty, wiecznie czémś zmieszanej. Obok tego, widać w niej było kobietę nieprzyzwyczajoną do rządzenia choć-by najmniejszym gospodarstwem, a mającą pociąg do rzeczy zbytkownych. W ubiorze jej tylko zbytku nigdy nie było. Można-by powiedzieć, że zrzekła się stanowczo zalotności wszelkiej, wszelkiej myśli o przystrajaniu się i elegancji.

Odkąd tu przybyła, nosiła wciąż jedną suknię i jeden kapelusz, to też suknia była szarżana bardzo, a kwiat przy kapeluszu, blady i zmięty wprzód, miał pozór zbrudzonej jakiejś szmatki. Lubiła przecież kwiaty, ptaki i łakocie. Przynosiła z miasta bukiety, ciastka, cukierki, kupiła drugiego kanarka, ostawiła okna roślinami w wazonach. Natomiast zdarzały się tygodnie, w których nie posyłała do garkuchni po obiad, a skromne, lecz konieczne do życia wiktuały, brała u Złotki na kredyt. Z całego jej postępowania i sposobu rządzenia się poznać można było, że to była kobieta-dziecko, jedna z tych kobiet, które przez całe życie zachowują trwożliwość, niezaradność i łakomstwo dziecka.

Jednak, żeby ją kto widział wtedy, gdy, wśród głuchej nocy, z lampką w ręku przebywała puste, ciemne, wiatrem świszczące, pokoje niezamieszkałego piętra gmachu, i jak,

postawiwszy lampkę na ziemi, stawiała nad małą dziewczynką, uśpioną na niskiej pościółce, pojąc-by musiał, że ta kobieta-dziecko cierpiała strasznie. Wyprostowana, sztywna, ze splecionymi dłońmi, zarzuconemi na głowę, i szeroko rozwartą, nieruchomą żrenicą, wyglądała ona wtedy, jak tragiczny posąg rozpaczny.

Niekiedy w zamyśleniu pytała:

— Boże! pocoś mi dał serce?

Innym razem przykładła dłoń do piersi i gwałtownie śród ciszy nocnej powtarzała:

— O, sumienie moje! sumienie! sumienie!

Czasem przy świetle lampki przeglądała listy jakieś, wiązki kwiatów zeschłych, kawałki spłowiałych wstążek i płakała cicho, rzewnie, głęboko.

— Żebym mogła utracić pamięć... — szeptała z załamanemi dłońmi — żebym mogła utracić pamięć tak, jak straciłam wiarę i nadzieję!...

W połowie zimy, spotkawszy w sieni domu właścicielkę magła, spytała ją nieśmiało, czy nie zechce ona kupić od niej parę kanarków. Wspaniała potentatka ubogiej osady odpowiedziała, że zapyta o to siostrzenic swoich.

— Jeżeli one zechcą posiadać ptaki te, nabędę je, bo ja paniomkom moim nic nie odmawiam, a jeżeli nie zechcą, nie nabędę.

Panienki chciały posiadać ładne, śpiewające ptaki, i właścicielka magła przysłała po nie, przesyłając zarazem odpowiednią kwotę pieniężną. Gdy wynoszono ptaki, Julianka czule żegnała się z nimi, usiłowała całować je przez pręty klatki i płakała.

— Nie płacz! — powiedziała do niej panna Janina... — wkrótce może po czémś ważniejszym płakać będziesz...

Wkrótce, po sprzedaniu kanarków, powiedziała dziewczynie, która dotąd obiady przynosiła jój z miasta, aby nie chodziła już do garkuchni.

— U siebie w piecyku gotować będę! — rzekła — taniej mi przyjdzie!

Gotowała z razu, ale parzyła sobie ręce, niecierpliwiała się, płakała, i nic nigdy w zupełności nie sporządziła. Zaczęła tedy kupować, lub brać na kredyt w mieście rzeczy do jedzenia już przygotowane, zimne, które kosztowały ją tyleż, albo i więcej, co ciepłe i pożywniejsze obiady z garkuchni. Nie umiała widać liczyć, a także szukała sobie wciąż czegoś, coby podniebieniu jój dogodziło.

Kiedy w pierwszy dzień wiosenny, jasny i słoneczny weszła do sklepiku Złotki, żydówka aż splotła ręce i zawołała:

— Aj! aj! jak panna źle wygląda! jak panna zmizerniała.

Wistocie, cera jój żółkła, oczy zapadły, a na czole przybyło zmarszczek. Postarzała i zeszeptniała, tylko lniane włosy jój wciąż wily się młodo i filuternie, i usta drobne zachowały zarys młodości i wdzięku.

— Moja kupcowo — rzekła — przyszłam prosić cię o radę... co tu robić? miejsce mi zdarza się, wcale dobre nawet... w domu dość zamożnych i uczciwych ludzi...

Umilkła i rzuciła dokoła siebie bardziej niż kiedy zmieszane spojrzenia. Złotka milczała chwilę i trzęsła starą głową swą, jak zwykle bywało, gdy zastanawiała się nad czémś smutnym, lub zagadkowym. Utopiła potem pojętne i bystre, choć starością omglone, oczy, w twarzy stojącej przed nią kobiety i zwolna zapytała:

— No! a co z dzieckiem będzie?

Tym razem, panna Janina była widać tak zamyśloną, czy zrozpaczoną, że nie zawołała, jak zwykle: a cóż mnie to dziecko obchodzić może? Owszem, splatając ręce i opierając je o stół, osłupiałym wzrokiem patrzyła przed siebie i głucho powtórzyła:

— Co z dzieckiem będzie?

— Dlaczego panna nie postara się przynajmniej o co dla dziecka tego?

— A jak? gdzie? u kogo starać się mogę! — wybuchnęła kobieta. — Alboż ja tu mam znajomości jakie, stosunki... prosiłam, kogo mogłam... nikt nie chciał... zresztą i prosić ja bardzo nie mogę, bo ludzie zaraz-by... Ochronka jedna w całym mieście, pełniuteńka zawsze... a żeby w niej miejsce i było, czy-bym ja ją wprosiła do niej... Sama jestem, uboga, bez protekcji, ni środków jakich... O! Boże mój! Boże! Boże!

Głos jój podnosił się coraz i nabierał jęklowych tonów. Błądą była, jak chusta.

Złotka patrzyła, głową trzęsła, myślała. Po chwili obejrzała się po sklepie, a widząc, że jest sam-na sam z guwernantką, zniżonym głosem zapytała:



— A czemu panna nie dasz znać o wszystkiém *jemu*? Może-by *on* dopomógł, poratował?

Twarz panny Janiny z bladéj stała się nagle szkarłatną.

— Kogo ja mam uwiadomić? kto-by mi dopomógł? — mówiła gwałtownie.

Wklęsłe usta staréj żydówki wygięły się w uśmiech dziwny, litośny i pogardliwy nieco.

— No — zaczęła zwolna — jeżeli panna nie wiesz, to ja o tém już mówić nie będę. Ja tylko jeszcze powiedzieć muszę...

Podniosła w górę pomarszczony palec swój i, kołysząc zwolna głową, dokończyła:

— Ja tylko to jeszcze powiem: wstyd czasem dobry jest, ale czasem niedobry... On dobry wtedy, kiedy człowieka strzeże od grzechu, ale niedobry, kiedy nie pozwala człowiekowi, ażeby on grzech swój naprawił. I strach taki dobry jest, kiedy on przed Panem Bogiem, ale kiedy przed ludźmi, to on zły... Jak człowiek ciągle wstydzi się i boi się, to co on dobrego zrobić może?

Panna Janina drżać zaczęła. Była znowu bardzo bladą. Gdy jednak podniosła powieki, w oczach jéj błysnął gniew.

— Ja nie rozumiem o czém kupcowa mówi — rzekła gwałtownie i odeszła.

Wieczora tego, do pokoju guwernantki wsunął się żydek, lichy odziany, i grzecznie z razu, potem coraz głośniej i natarczywiej, upominał się o dług jakiś. Panna Janina płonęła rumieńcami, mieszała się, prosiła o zwłokę, nakoniec przyrzekła, że dług za parę dni wypłaci. Nazajutrz z rana miała jeszcze rozmowę podobną z kobietą jakąś, która w wielkiej chustce, zarzuconej na głowę, weszła do jéj pokoju, grubijańsko rozsiadła się na kanapce, przemawiała do niéj grubym głosem, i patrzyła rozszłoszczonemi oczyma.

W kilka godzin potem, panna Janina weszła do sklepiku Złotki. Widoczném było, że zdobywała się na zimną krew i śmiałość, ale przychodziło to jéj z trudnością. Głowę podnosiła, patrzeć usiłowała śmiało i obojętnie, ale usta jéj drżały i oczy nabiegały łzami.

— Moja kupcowo! — rzekła, postępując do stołu, za którym siedziała żydówka — ile ja kupcowej winna jestem?

Złotka sporządziła szybko mały rachunek i podała go jéj, milcząc:

— Dziś w wieczór zapłacę — rzekła kobieta.

— Czy panna przyjęła już to miejsce?

— Idę właśnie, aby powiedzieć państwu tym, że propozycją ich przyjmuję. Jutro wyjadę z nimi na wieś...

— Daleko?

— Dwadzieścia ztąd mil podobno.

Złotka milczała. Panna Janina nie miała już powodu żadnego do pozostania, jednak nie odchodziła. Po chwili milczenia zaczęła z cicha:

— Całorocznej pensyi mojej zażądać z góry muszę. Połowę jéj wydam na opłacenie długów, a i przyzodział się trochę trzeba, bo dom jest zamożny i wymagać tam będą porządnego ubrania. Jednak, jeżeli<sup>2</sup> kupcowa pozwoli, ja kupcowej zostawię trochę pieniędzy... dla małéj...

Złotka ręką niechętnie skinęła.

— A co jéj z tych pieniędzy — rzekła. — Ile tam panna zostawić możesz? Będę jéj za nie jedzenie dawać, póki wystarczy... a potem co?

— Cóż ja więcéj mogę? — szepnęła kobieta — wszak wrócę kiedyś... jak tylko uzbieram sobie trochę, zaraz wrócę... Tymczasem... moja kupcowo... starą jesteś kobietą i uczciwą... dzieci i wnuki masz...

Umilkła, i ze splecionemi, jak do modlitwy, dłońmi, patrzyła w twarz żydówki.

— A co ja mogę? — zapytała Złotka, ramionami wzruszając — ja nad nią litość mam, ale żydówką jestem, a to chrześcijańskie dziecko... Do siebie jéj wziąć nie mogę... to co ja dla niéj zrobię?

— Spójrzć, nakarmić czasem, napomnieć...

— Nu, nu! — odrzekła Złotka z giestem przywalającym.

Panna Janina poszła na miasto i długo nie wracała, gdy zaś o zapadającym zmroku wróciła, znalazła w pokoju swym niecierpliwie oczekującą jéj Juliankę. Ze sposobu, w jaki

---

<sup>2</sup>jeżeli. [przypis redakcyjny]

dziewczynka rozpostarła ramiona swe i poskoczyła ku wchodzącej, ze srebrnego, radośnego wykrzyku jęj i pocałunków, któremi okryła jęj ręce, poznać można było, że dziecko to wiedziało już teraz, co to jest — kochać. Prowadząc milczącą kobietę ku kanapce, Julianka szczebiotała. Czy kobieta słuchała szczebiotu dziecka, trudno było odgadnąć. Twarz jęj rysowała się na tle zmroku, jak biała i nieruchoma rzeźba z marmuru; milczała, jak grób. W pokoju robiło się coraz ciemniej.

— Może lampę zapalić? — szczebiotało dziecko — ja umiem już zapalić lampę.

Zamiast odpowiedzi, kobieta pochyliła się, wzięła dziecko w ramiona i posadziła je na swych kolanach.

— Julianko! — szepnęła.

— Co, pani? — wesoło zapytało dziecko.

— Posłuchaj mnie; mówić ci będę o rzeczach ważnych i smutnych.

Julianka spowaźniała i widać było w zmroku, jak błyszczące oczy dziecka wpatrzyły się uważnie w bladą twarz kobietę.

— Będę ci mówić o twojej matce — szeptała kobieta.

— O matce? — z akcentem zdziwienia zapytało dziecko.

Kobieta ciężkim, zdławionym szeptem, mówiła dalej:

— Matka twoja jest bardzo nieszczęśliwą kobietą. Złą ona nie jest... owszem, ma ona serce i sumienie niegorsze, jak u kobiet innych... Ale raz w życiu popełniła ona grzech... i potem zwałił się jęj na plecy ciężar tak wielki, że, aby dźwigać go, sił jęj nie stało... Pamiętaj o tém, Julianko, że matka twoja nie jest złą, ani nieczułą, ani nikczemną, ona tylko jest bardzo nieszczęśliwą i bardzo słabą... Pamiętaj o tém i nigdy... nie miej nienawiści dla matki swęj, ani wyrzekaj na nią... o! nie czyn tego! Żałuj jęj... a jeżeli ludzie źle o nią mówią będą przed tobą, odpowiedz im: ona chciała jak najlepiej, ale nie mogła... sił nie miała!...

Dziecko słuchało, na-pół tylko rozumiejąc. Znać jednak było, że szept kobiety, przerywany i westchnieniami nabrzmiały, nastrajał je uroczyście. Po chwili milczenia, wśród którego słycać było tylko ciężki oddech kobiecej piersi, głos dziecięcy zapytał:

— A gdzie jest moja matka?

Coś, jakby stłumione szybko łkanie, było na pytanie to pierwszą odpowiedzią. Potem kobieta półgłosem, z wolna bardzo, mówić zaczęła:

— Matka twoja jest w jednym kraju takim, gdzie wieczna panuje ciemność... nie świeci tam żadna gwiazda nadziei, a płomień miłości, jeżeli pali się jeszcze, to dlatego tylko, ażeby dręczyć, nie żeby pocieszać... Kraj to ciemny taki, jak najciemniejsza noc, ludzie uciekają z niego często do grobu... ale matka twoja nie miała siły uciekać... i myślała przytém, że, jak ucieknie, to na zawsze już ciebie porzuci... została więc i mieszkała tam ciągle, a z nią razem mieszka żal i wstyd, strach i bieda...

Dziecku na płacz się zbierało.

— A dlaczego... — zaczęło — dlaczego moja matka do tego ciemnego, strasznego kraju poszła?

Po chwili milczenia, kobieta ponuro i z dziwnym, jakby obłąkanym, uśmiechem w głosie, szepnęła:

— Dlatego, że bardzo kochała!

Milczały chwilę obie.

— Pani! — ozwało się dziecko. — Pani! a gdzie mój ojciec?

Głowa kobiety pochyliła się nisko.

— Wielki Boże! — zaszeptała gwałtownie.

Potém, miękko, rzewnie jakoś, wymówiła:

— Niech Bóg mu przebaczy! Przebacz mu! — mówiła dalej, przykładając twarz swą ku twarzy dziecka — i matce swęj, o! matce swęj nadewszystko, przebacz!... i o tém także pamiętaj zawsze, co ci mówiłam, abyś grzeczną była, łagodną dla ludzi, nie brała nigdy nic cudzego... Pamiętaj, że, gdy tylko co złego zrobisz, serce twojej matki bardzo zaboli, i ciemniej jeszcze zrobi się w kraju tym, w którym mieszka ona...

— A teraz — dodała po chwili — chodź... pomodlimy się razem...

Wstała, i trzymając dziecko za rękę, poprowadziła je ku oknu. Za oknem ciemno było, deszcz padał i lipy szumiały. W pokoju też panowała ciemność taka, że zaledwie

śródm niej rozróżnić można było zarysy dwóch postaci: kobiecej i dziecięcej, klęczących przed oknem.

— Złóż ręce... patrz w niebo... nie widać go teraz, ale ono jest przecie... wiész o tém, że jest tam... za ciemnościami... mów: Ojcie nasz!

— Ojcie nasz! — z cicha powtórzyło dziecko.

— Głośniej, głośniej powtórz: Ojcie nasz, któryś jest w niebie!..

— Ojcie nasz, któryś jest w niebie!... — powtórzyło głośniej dziecko, i zaczęło mówić dalej — przyjdź królestwo...

— Nie! nie! — zawołała kobieta — nachyl się aż do samej ziemi, mów, wołaj, powtarzaj za mną: zlituj się nad nami!

Julianka, tknięta dźwiękiem ję głosy, zaszlochala z cicha, potem, w ciemności głębokiej, z ogromnym łkaniem wybuchnął wykrzyk dwóch głosów:

— Zlituj się nad nami!

I powtarzał się wiele, wiele razy, aż utonął w długim, coraz cichszym, płaczu.

\*

W parę dni potem, Julianka stała w progu starego gmachu, z opuszczonymi rękoma, i sztywnym wzrokiem wodziła dokoła dziedzińca. Miała ona na sobie odzież dość całą jeszcze i zupełnie nowe obuwie, ale z włosów ję rozczochranych, twarzy nagle wychudłej i głębokiego zgnębienia, piętnującego całą drobną ję postać, poznać można było, że straszna boleść jakaś zmięła dziecięce to serce.

Pierwszy to raz od wczesnego ranka tego, w którym tragarze wynosili z pokoju panny Janiny skromne ję sprzęty, a ona sama niepostrzeżenie przez nikogo, wysunęła się na miasto, aby nie wrócić więcej, mieszkańcy dziedzińca zobaczyli Juliankę. Dotąd widywała ją tylko żydówka Złotka, która parę razy na dzień, w zawoju swym i kwiecistej chustce na zgarbionych plecach, przebywała dziedziniec i wchodziła do wnętrza gmachu. Za każdym razem niosła tam ona miseczkę z żywnością jakąś, a wracając, mruczała coś do siebie i trzęsła głową. Komuś, kto zapytał ją o dziecko, odpowiedziała:

— No, ja nie wiem, co to za dziecko jest! Ja takiego dziecka, jak żyję, nie widziałam! Twarz ję to już cała opuchła od płaczu. Siedzi w kącie pustego pokoju i ani gadać, ani jeść nie chce, tylko ciągle podłogę tę całuje, po której kobieta ta chodziła. Ja ję mówiła, żeby ona na dół zeszła i do moich małych wnuczek przyszła pobawić się, a ona na mnie, jak waryatka, popatrzała i odwróciła się do ściany... Nu, co ja ję zrobię?

Po dwóch dniach jednak zeszła i w progu domu stanęła. Stała tak dość długo, spoglądając to na promienie słońca, ślizgającego się po trawie złotymi smugami, to na ptaszki przelatujące, to na dzieci bawiące się w innej stronie dziedzińca, gdy w bramie ukazała się stara bardzo, mała kobieta.

Miała ona zupełny pozór żebraczki. W ręce trzymała kij gruby, którym nie tylko podpierała się, ale znać było, że szukała sobie drogi bezpiecznej, której dojrzyć już nie mogły oczy ję, krwisto świecące śród pomarszczonej twarzy. Plecy ję okrywał rodzaj salopy bez rękawów, połatanęj z przodu i z tyłu, a tak staręj, że żadnej już określonej barwy nie posiadającęj; na nogach, owiniętych szmatami płótna, miała płytkie, dziurawe obuwie, a na siwych włosach zrudziały watowany kaptur.

Żebraczka ta szła powoli bardzo, kijem swym stukając o kamienie, tu i owdzie z trawy wystające, i z wysileniem wielkiem ostatków wzroku swego, poszukując na dziedzińcu kogoś, lub czegoś.

Julianka, spostrzegłszy żebraczkę, głowę podała na przód i zaczęła przypatrywać się ję z uwagą wielką. Nagle zeskoczyła z wysokiego progu i biedz zaczęła. W połowie dziedzińca spotkała się ze starą kobietą i krzyknęła:

— Pani! — Jednocześnie pocałowała rękę ję, kij trzymającą.

— A!... kto to? czy to Julianka? — zapytała żebraczka chrapliwym, dygocącym głosem.

— Julianka! — odpowiedziało dziecko i pocałowało ją w rękę drugą.

Żebraczka niepewnym giestem ludzi, nic prawie niewidzących, poszukała głowy ję i położyła na niej dłoń zczerniałą i pomarszczoną.

— Aha! — zaczęła — poznałaś mnie i kontenta widać jesteś z tego, żem przyszła; to dobrze! Dobrze z ciebie dziecko! Ot widzisz! przyszłam! Ja tu kilka razy już byłam i dowiadywałam się o ciebie. Cóż? dobrze ci teraz... jakaś pani opiekuje się tobą... Żebyś mnie zaprowadziła do niej, tobym z nią zaznajomiła się i potem przychodziła-bym czasem, aby cię zobaczyć... a może byście dały mi cokolwiek... szmatę jaką zbywającą, albo łyżkę strawy ciepłej... kto-by się był tego spodziewał?... No, zaprowadzisz mnie do swojej pani, co?

Dziecko słuchało, ponuro patrząc w ziemię.

— Niema już jój — wyrzekło z cicha.

— Niema! a gdzie się ona podziała? toż była jeszcze niedawno! U Złotki dowiadywałam się o ciebie... Gdzież ona?

— Nie wiem... pojechała gdzieś...

— Pojechała! — powtórzyła stara żebraczka, — no... a tyżę?...

Julianka nie odpowiadała przez chwilę. Gdyby stara kobieta wzrok jeszcze posiadała, spostrzegła-by, że oczy dziecka miały w tój chwili dzikie jakiś połyski.

— A ot, taka już dola moja! — rzekła po chwili z powagą, dziwnie odbijającą od drobnej jój postaci, i z wolna w ziemię patrząc, ciągnęła dalej. — Matka mnie porzuciła, i pani mnie porzuciła, i panna Janina mnie porzuciła... wszyscy mnie wyrzucają tylko i porzucają...

— No, no! — przerwała żebraczka — nie wyrzekaj, nie wyrzekaj, z wolą Bożką zgódź się. A ja? widzisz do czego przyszłam? żebrzę! żebraczka jestem!... kto-by się był tego spodziewał! Nie porzuciła-bym cię była z pewnością, gdyby mi nie przyszła ta ciężka potrzeba... a co miałam robić z tobą? Ot i teraz znowu sama jesteś... żal mi cię... ale cóż zrobić?... żeby tak jeszcze oczy były, ale uciekły! zupełnie uciekły! drogi już nawet przed sobą nie widzę... no, bądź zdrowa! niech Bóg cię ratuje!

I szukała znowu trzęsąc się ręką głowy dziecka, aby je pożegnać; ale Julianka obiema rękoma uchwyciła brzeg połatanego jój płaszczka.

— Niech mnie już pani teraz nie porzuca... — zawołała — niech mię pani z sobą zabierze...

Żebraczka zamyśliła się.

— Zabrać cię... a cóż ty robić będziesz ze mną? żebrać, tak jak ja... oj! to niedobrze! niedobrze! Ja to już drogą tą z życia wychodzę... kto-by się był spodziewał?... ale żebyś ty miała w nią wchodzić... to niedobrze... Panu Bogu za ciebie odpowiem! duszę swą zgubię.

I opierając się jakby pokusie ogarniającej ją, odchodzić chciała; Julianka przecież drogę jój zabiegła, płaszczka jój czepiała się i ręce jój całować zaczęła.

— Pójdę za panią! — szeptała — na koniec świata za panią pójdę... Sama tu nie zostanę już teraz za nic... Antek bił-by mię znowu i głodem-bym marła... a pani to, tak nie widząc, zabłądzi gdzie jeszcze i zginie, albo upadnie i zabije się... ja panią prowadzić będę...

Ośleple oczy żebraczki nabiegły łzami.

— Lękasz się, żebym nie zabłądziła, albo nie upadła — szepnęła — o! mój Boże! nikt o to nie lęka się oprócz ciebie... Nie zapomniałaś mię przez czas tak długi i lubisz mię... Dobrze, wdzięczne z ciebie dziecko!... no, to już chyba wezmę cię z sobą! chodź! prowadź mię będziesz... a może kto, widząc cię ze starą, ślepą żebraczką, zlituje się nad tobą... Weź mię za rękę i prowadź! Oj, jak mi lżej! czy to dla tego, że drogi kijem szukać nie potrzebuję, czy że żywa dusza jakaś jest ze mną, ale lżej mi iść... lżej...

Wyszły razem z dziedzińca. Przed sklepikiem Złotki zatrzymały się, Julianka wbiegła do sklepiku i Złotkę w rękę pocałowała.

— Dziękuję pani za wszystko — rzekła.

Żydówka, która, widząc żebraczkę, stojącą śród chodnika, domyśliła się wszystkiego, zaczęła bardzo trząść głową. Wyszła ze sklepiku i, wkładając w rękę starej kobiety parę assygnat, rzekła:

— Niech jejmość to weźmie. To ta guwernantka zostawiła u mnie te pieniądze dla malój...

— A dobrze, dobrze! — szeptała żebraczka z radością widoczną — będziemy sobie za to żyły obie czas jakiś... ręki nie wyciągając... kto-by się był spodziewał?

Złotka patrzyła za niemi, gdy odchodziły, i zawołała jeszcze:

— Julianka, nu! Julianka! słuchaj! przyjdź tu kiedy i dowiedz się... może znowu tobie co przyśle...

— Przyjść! przyjdź! — odskrzyknęła Julianka wesołym prawie głosem.

Wycieczka, w którą puszczała się, budziła w sercu jęj mnóstwo nieokreślonych ciekawości i nadziei, a oczy jęj chciwie i ze zdumieniem pograżały się w głąb' ludnej i gwarnęj ulicy, na którą po raz piérwszy w życiu wchodziła.

Odtąd widywać zaczęto na ulicach i placach miasta, starą, ślepą żebraczkę, prowadzoną przez dziesięcioletnie dzieć, mające na sobie odzież dość porządną z razu, potém coraz więcej zniszczoną i podartą. Najczęściej stawały one pod sklepionemi bramami kamienic. Na dziedzińcach domowstw nie widywano ich nigdy; odstraszały je snadź ztamtąd złośliwe psy i grubijańscy stróże domów. Przed wrotami kościołów nie siadywały téż i nie stawały wcale. Ślepa staruszka, drepcąc po nierównych kamieniach, mawiała do prowadzącego ją dziecka:

— Pod kościół nie poszlam... ot! wstydziłam się, i tyle tam bab grubijanek, nieobyczajnych... jeszcze-by mię były obity... Najlepięj w bramach stawać... bo to zawsze pod przykryciem jakimś nie tak się przed oczyma całego świata stoi... kto-by się był spodziewał?... Jak tu sobie stoimy, to ludzie ci, co ulicą przechodzą, myśleć mogą, że czekamy na kogoś, a tymczasem idą tędy osoby rozmaite... kiedy zobaczysz, że pani jakaś przechodzi, albo pan, zaraz mię ostrzeż, ale sama nie proś... broń cię Boże... ręki nie wyciągaj i nie proś... ja wyciągnę i poproszę...

Stawały tedy w bramach, przez które przechodziły istotnie osoby różne. Za każdym razem Julianka pociągała za płaszcz ślepą żebraczkę i, podnosząc głowę, szeptała śpiesznie:

— Idzie! idzie!

Wtedy, mała, zgarbiona staruszka, próbowała wyciągnąć rękę, nigdy jednak udać się jęj to nie mogło. Coś ją od tego powstrzymywało gwałtem niezmożonym. Zamiast więc wyciągania ręki, wykonywała przed osobą idącą staroświecki dyg jakiś, szczególnie wyglądający przy połatanym jęj płaszczu i nogach szmatami owiniętych. Chciała téż zawsze mówić coś, ale trzęsła tylko głową w sposób objawiający prośbę, i szybko, szybko, po kilka razy wyszeptywała: kto-by się był spodziewał? Ktoby się był spodziewał?

Widywano je téż niekiedy przed wystawami sklepów różnych. Tu, staruszka stała, przyciśnięta do ściany domowstwa, aby nie zawadzać ludziom, idącym chodnikiem, a dziecko, oczyma błyszczącemi od ciekawości i zachwycenia, przypatrywało się przedmiotom, zdobiącym okna sklepowe. Czasem, obok ciekawości i zachwycenia, we wzroku dziewczynki zjawiała się chciwość. Zatrzymywała się i staruszkę zatrzymywała, nietylko przed sklepami, ale i przed straganami nawet, ustawionemi śród rynków lub na rogach ulic.

— Aj! jakie piękne bułki! — mówiła — a jakie obwarzanki! piękniejsze daleko niż te, co u Złotki?

Czasem, szepetem takim, jakby powierzała jęj ważną jakąś tajemnicę, mówiła do staruszki:

— A jakie tu śliczne gruszki są!

— Może ty tam ruszasz co? — zaczynała wtedy prawić żebraczka — może ty tam co bierzesz bez pozwolenia? Broń cię Boże od tego! Siódme przykazanie Bożkie pamiętaj zawsze, jeżeli ci miłe szczęście ziemskie i zbawienie wieczne... Siódme przykazanie: nie kradnij! Jeżeli rozminiesz się kiedy z tém przykazaniem, pójdiesz do turmy i w piekle będziesz...

Julianka była posłuszną, ale mała ręką jęj mimowoli wyciągała się wciąż ku straganowi, pełnemu pieczywa lub owoców. Zdarzało się, że straganiarki, stare żydówki w zabłconych spodnicach i brudnych czepcach, spoglądając na tę rączkę dziecięcą, wysuwającą i cofającą się z drżeniem, dawały jęj najtwardszą bułkę jaką, albo najmizerniejsze jabłko; wtedy dziecko mówiło z cicha; dziękuję! i idąc dalej a jedząc, odłamywało wciąż lub odgryzało kawałek bułki lub owocu i, wspinając się na palce, wkładało go do ust ślepęj jęj towarzyszki.

Tak w pogody i niepogody, tułały się dwie istoty te po mieście całém. Czasem siadywały na ziemi w miejscach ustronnych i spoczywały. Wtedy, gdyby ktokolwiek podsluchiwał je, usłyszał-by, jak stara kobieta opowiadała dziecku o przeszłości swęj, dawno,

dawno minionej, o rozkoszach, których zażyła, i ludziach, których znała, powtarzając co chwila: kto-by się był spodziewał? albo: gdzie teraz ludzie ci? gdzie? lub też udzielała mu rad i nauk różnych.

— O to już tylko Boga proszę — mówiła — żebym żyła dopóty, dopóki nie porośniesz trochę i nie będziesz mogła w służbę gdziekolwiek pójść... Przy mnie nie zmarnujesz się jeszcze do ostatka, a żebyś już choć dwanaście lat miała, tobyś mogła komu za kawałek chleba i dachu posługiwać... a potem z silnemi rękoma biedy-by ci nie było... Najważniejsza rzecz, żebym żyła, póki z najmniejszej małości nie wyjdiesz; ale nie wiem czy będę żyła... Wilgotna ta dziura, w której nocujemy, okropnie mi na reumatyzm szkodzi... kto-by się był spodziewał?... a co się tycze kości moich, to tak, jakby zaraz rozsypać się miały... jedna drugiej nie trzyma się...

Biedne te, stare, wynędzniałe i zmordowane kości, rozsypały się snadź prędzej, niż życzyła sobie tego ich właścicielka, bo w mieście przestano wkrótce widywać ślepią żebraczkę, a dziewczynka, która dawniej była jej przewodniczką, zaczęła chodzić sama po ulicach miasta. Nie wyszła ona jeszcze z *najmniejszej małości*, której kraniec stara żebraczka upatrywała w latach dwunastu. Do wieku tego nie dostawało jej jeszcze z półtora roku. Przyniem miała ona zawsze wzrost mały i kształty drobne, tylko nogi jej wydawały się zbyt długimi w stosunku do całości jej postaci; pochodziło to ztąd, że stara spodniczka, z której wyrosła, sięgała jej do kolan zaledwie. Chude, nagie, nogi te, nie znały znowu, co to obuwie jakiegokolwiek; czerwone były od chłodu i na ostrych kamieniach pokaleczone. Oprócz spodniczki krótkiej, miewała ona jeszcze na sobie kaftanik bardzo podarty i szmatkę jakąś płócienną, nakształt chusteczki zarzuconą na głowę. Szmatka ta jednak zsuwała się jej wciąż na plecy, bo utrzymać się nie mogła na włosach ogromnych, spierścienionych.

W ubraniu tém, z twarzą, która uderzała prawidłowością drobnych rysów i głęboką śniadością cery, z dwojgiem wielkich oczu, czarnych i błyszczących, przesuwiała się ona chodnikami ulic, stawała przed wystawami sklepów, u bram wysokich kamienic, lub okien niskich domowstw.

Z razu prosiła o jałmużnę oczyma tylko, które podnosiła, milcząc, ku twarzom przechodniów; gdy mijali ją, nie zważając na niemą tę prośbę, nie szła za nimi, lecz czekała innych. Potem zaczęła wyciągać rękę i biedz za ludźmi, idącymi ulicą, przyciem szeptala coś monotonna i trochę jęklawie. Zauważono, iż stawała najczęściej przy tych oknach niskich domowstw, za których szybami kwitły w wazonach zielone rośliny. Stawała przed oknami temi długo i często, przypatrując się zieleni i kwiatom, czasem z uśmiechem, a czasem z posępnym wyrazem w oczach. W ogólności, w twarzy jej i poruszeniach uderzały sprzeczności rozmaite. Wzrok miewała posępny najczęściej, ku ziemi opadający, albo rzucający z czarnych źrenic błyski nieufne i niespokojne; ale usta jej drobne i blade posiadały wyraz dziecinniej słodczy, albo przejmującego cierpienia. Ruchy jej były też gwałtowne czasem, a czasem trwożne, powolne i znamionujące wielkie znużenie. W zimie składała małe, zsiniałe ręce i, pochylając głowę, przykładala je do ust swych. Tak szła i wtedy wydawała się skurczoną i bardzo zgnębioną.

Gdzie nocowywała? kogo znała i z kim w porze tej życia swego przestawała? Nikt nie wiedział na pewno, bo, po prawdzie, nikt też się o to nie dowiadywał! Ci, którzy znali ją, bo dawali jej często jałmużnę, widywali ją czasem wchodzącą, przed zapadnięciem zmroku, w pewien wąziuchny, błotnisty i cuchnący zaułek miejski, a ktoś przechodzący raz w wieczór zaułkiem tym, wypadkiem spojrzawszy w niziuteńkie okienko o czterech zielonych szybkach, zobaczył<sup>3</sup> izdebkę, a raczej czarny, niski, zakopcony kąć jakiś, w którym siedziała ona na słomie, obok kulawego na obie nogi dziada żebraka. Przy mdłym świetle malutkiej świeczki, przylepionej do brudnego stołka, dziad żebrak przewijał łachmany na kalekich swych nogach, opowiadając coś przyciem zwolna i mrukliwie, a siedzące przy nim dziecko obejmowało rękoma podniesione kolana swe i słuchało go, z oczyma wpatrzonemi w czerwoną, siwym włosom obrosłą, twarz jego.

Raz znaleziono ją z rana, śpiącą w kątku miejskiego cmentarza, na małej mogiłce, żółciejącej gliniastą ziemią z za rzadkiej i młodej jeszcze trawy. Dowiedziano się potem od cmentarnego stróża, że była to mogiła ślepej staruszki, niedawno znikłej z ulic miejskich.

<sup>3</sup>zobaczył. [przypis redakcyjny]

Czasem przychodziła nocować do starego gmachu, na którego dziedzińcu wychodowała się, a wtedy wstępowała na wysokie piętro i sypiała w pokoju panny Janiny, który teraz stał pustką.

W dni słoneczne zato hasała ona z gromadką ulicznych dzieci po ciasnych podwórkach lub najbrudniejszych placach miasta. Z gwałtowności, z jaką oddawała się wtedy swawoli, z krzyków jój i skoków, poznać można było, że wynagradzała sobie czas dla zabawy stracony i że rada była bardzo, iż znalazła nakoniec rówieśników, którzy, stojąc z nią na równym zupełnie szczeblu społecznym, nie wypychali już jój ze swego wesołego grona.

Coś jednak było w niej zawsze, co odróżniało ją od idyotycznych, na-pół dzikich jój towarzyszy, coś delikatnego, powściągliwego i cicho cierpiącego, co nie znikало w zupełności wśród najgwałtowniejszych porywów swawoli jój, lub dziecinnych gniewów. Był to ślad kilkunastu miesięcy, przepędzonych u panny Janiny, we względnym dobrobycie i wśród miękkih, uszlachetniających uczuć, albo rad i nauk małej staruszki, wyrabiającej włóczkowe roboty, a ślepej żebraczki potem, czy też może wpływ skłonności, smaku, pociągów pewnych, odziedziczonych po kimś, z krwią wziętych i na dnie natury jój spoczywających?

Było w mieście kilka rodzin miłosiernych, które nietylko dawały jój jałmużnę, ale pozwalały jój od czasu do czasu przytulić się w ciepłym kątku kuchennym i zachęcały ją do pracy jakiegóś. Od zajęć, które jój tam dawano, nie stroniła. Owszem, w słotne lub mroźne dni przychodziła czysto sama do miłosiernych domów tych i prosiła, aby pozwolono jój wschody zamieść, podłogę w sieni lub kuchni wymyć, samowar nastawić.

— Ja to wszystko umiem — mówiła.

Usiłowała wtedy zmiatać wschody i myć podłogę, ale nie mogła jeszcze należycie podobać zadaniu. Wielkie miotły i grube ścierki wymykały się z małych rąk jój, aż niecierpliwie kucharki lub młodsze odbierały od niej te narzędzia pracy i, stosownie do stopnia litościwości swój, lub barwy swych humorów, rozkazywały jój iść precz z domu, albo pozwalały wchodzić do kuchni. W ostatnim wypadku usiłowała ona stać się użyteczną czyszczeniem rondli, lub nastawianiem samowarów. Obie zresztą czynności te spełniała wybornie, tylko, że nastawiając samowary, zamyślała się często, a raz nawet, czyniąc to, rozplakała się rzewnie i głośno. Samowar przypominał jój zawsze pannę Janinę i dzień ten, w którym po raz pierwszy w życiu przedmiot ten w mieszkaniu jój ujrziała.

Służące mawiały o niej:

— To dziecko, proszę pani, dobre jest przez to, że nigdy nic nie poruszy... żeby jój niewiedzieć co kłaść przed czy — nie poruszy!

Panie domów, wchodząc czasem do kuchni, głaskały ją po włosach i zadawały jój pytania różne. Na pytania odpowiadała krótko, łagodnie czasem i z uśmiechem, a czasem mruklawie i niechętnie. Zapytywana przez tych, którzy znali ją od niedawna: czyją jest? odpowiadała: wszystkich! albo: niczyją! Jeśli ją kto zapytał o matkę lub ojca, milczała uparcie. Rzadkie i obojętne pieszczoty, które spotykały ją od pań domów, przyjmowała sztywnie i obojętnie.

Była w niej nieufność jakaś do czułości wszelkiej i wielka trudność w uczuwaniu jój i objawianiu.

Trwało tak rok, czy dłużej nieco. Nagle mała żebrząca dziewczynka przestała ukazywać się na ulicach miasta, w domach miłosiernych dla niej, w sklepiku Złotki, wszędzie. Nie widywano już jój nigdzie. Z razu nikt na to nie zważał, potem jednak znaleźli się ludzie, których zaciekawiło albo zaniepokoiło nagle to zniknięcie dziecka. Zaczęto dowiadywać się i po trochu szukać. Litościwe panie, które widywały ją czasem w kuchniach swych i głaskały jój włosy, upatrywały ją pomiędzy ulicznymi dziećmi, wyprawiającymi po dziedzińcach i placach wrzaskliwe harce; kucharki zapytywały o nią znajome sobie sługi i stróżów domów; ktoś poszedł po wiadomości o niej na dziedzińiec starego gmachu, na którym widywano ją niekiedy; a Złotka, odświeżywszy snadź w pamięci swój historią jój dzieciństwa, na którą własnymi oczyma patrzyła, przyrzekła nawet czarkę wódki i kilka kopiejek zapłaty temu z dziadów, lub żebrzących, kto dziecko znajdzie.

Wszystkie jednak kroki, niezbyt wprawdzie usilne w celu odnalezienia Julianki czynione, nic nie pomogły. Nie było jój ani pomiędzy ulicznymi dziećmi, ani w starym

gmachu, ani wśród żebraków, ani na cmentarzu, ani na żadnym z dziedzińców i zaułków miejskich. „Rozstąp się ziemi!” — zniknęła.

Być może, iż istotnie rozstała się pod nią ziemia, iż zziębła, zgłodniała i chora, cicho usnęła ona na wieki pod płotem zamiejskiego ogrodu jakiego, ztamtąd zabrały ją ręce stróżów publicznego porządku i sprawiły jej pogrzeb bez dzwonów ni chorągwi, muzyki ni płaczu.

Przypuszczenie to jednak najmniej wydaje się prawdopodobnym. Istoty takie, jak ona, życie mają twarde. Fizyczne siły ich daleko wytrwalszemi zwykle bywają, niż ich zasady moralne. Być może więc, że zasada moralna, wpojona w Juliankę przez ślepą żebraczkę słowami: jeżeli rozminiesz się z siódmym przykazaniem, do turmy pójdziesz i w piekle będziesz! zachwiała się wobec silnej pokusy lub zręcznej namowy jakiej, i że, słabe bardzo wyobrażenie mając o turmie, i czując, że piekło daleko, a przedmiot ponętny blisko, rozminęła się ona z siódmym przykazaniem, poczem zamknęły się za nią żelazem okute drzwi miejscowego więzienia?

Być może jeszcze, iż pochwyliła ją jedna z tych sieci, którą zbrodniczy przemysł rozciąga na piękność kobiecą, w zarodzie choćby dostrzeżoną, i że ukaże się ona jeszcze kiedyś na świecie, dorosłą i wykształconą — w szkole występku?

Zresztą, wzięła ją jeszcze może z miejskiego bruku poczciwa wieśniaczka jaka, wracająca z targu lub z kościoła, a potrzebująca w chacie robotnicy małej, i siaduje ona gdzieś teraz na łące zielonej, pasąc stadko gęsi białych lub burych owieczek, szczęśliwa, bo otacza ją natura świeża i zdrowa, nieszczęsna zawsze — bo sama i cudza wśród matek, całujących swe dzieci, i wśród dzieci, bawiących się na rodzinnych swych progach...

Jakkolwiek bądź, Julianki nikt już nigdy w mieście naszym nie widział, a za całe wspomnienie o niej pozostała długa historia o porzuconym dziecku, którą Złotka opowiadać lubi ludziom, przychodzącym do jej sklepiku.

Niekiedy, wysłuchawszy opowiadania stariej żydówki, ludzie mawiają:

— Smutna to historia!

Wtedy Złotka trzęsie głową w spłowiłym zawoju podnosi w górę pomarszczony palec i mówi:

— Czy ja jedna taką smutną historią wiem o tych wszystkich ludziach, którzy na wielkim dziedzińcu, tym mieszkali i mieszkają! Ja historii takich wiem bardzo wiele i, żebym tylko mówić chciała...

Potem, ze zwykłym sobie uśmiechem, pojętnym i wzgardliwym nieco, dodaje:

— I żeby ludzie słuchać chcieli o takich robakach...

Wkrótce jakoś po zniknięciu Julianki, do sklepiku stariej żydówki wbiegła kobieta, zdyszana od pośpiechu, mizerna, kaszląca. Ubranie miała ona skromne bardzo i jasne włosy, wijące się nad uwiedłą twarzą. Było jej tak pilno czegoś i niecierpliwie, że, nie zważając na obecność osób kilku, nie witając się nawet z właścicielką sklepiku, pochwyliła rękę Złotki i pytała zaczęła:

— Moja kupcowo! gdzie ona! co się z nią dzieje? czy zdrowa? czy żyje?

Złotka pochylała się i chwil kilka szeptała jej coś do ucha. Kobieta słuchała szeptu jej z niepokojem z razu, potem z przestachem, nakoniec krzyknęła, twarz dłońmi zakryła i roztopiła się w łzy. Po krótkim tym, gwałtownym płaczu, rzuciła się ku drzwiom, wołając:

— To być nie może! ja jej szukać będę! ja ją znajdę!...

U drzwi jednak stanęła z obwisłymi rękoma.

— Jak ja mogę jej szukać? — szepnęła — jak ja mogę o nią pytać? ludzie domyślą się zaraz...

Daremną troska! Widząc niepokój jej i rozpacz, łzy i wahanie się, obecni odgadli, że wzięła ta, zwiędła, lękliwa kobieta, była matką Julianki; — lecz nigdy nikomu poszlaka najmniejsza nie pozwoliła domyślić się, kto był jej ojcem.



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/julianka>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer*, tom IV, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0621-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).